

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec*

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 28 LUTEGO 1931 ROKU

NR. 9

TREŚĆ NUMERU: Problem kobiecej pracy zawodowej — *Zofja Reutt-Witkowska*. Kto napisał „Malwinę”? (dok.) — *Stanisław Wasylewski*. Poezje: „Ogród lipowy” — *Kazimiera Illakowiczówna*. W szpitalu (dok.) — *S. Borowska*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Pierwsza polska dziennikarka — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Z wystaw — *I. J. Lepsi* pełny skarb, niż popularność — *N. J. Z życia ekranu* — *Stef. H.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Nasze wolne godziny — *Wanda Dobrzańska*. Soja — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Tace — *M. D.* Nowa placówka przemysłu artystycznego — *Wanda Pogonowska*. O rybach morskich — *Pani Elżbieta*. Premje książkowe dla prenumeratorek „Bluszcza”. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Książki nadesłane do Redakcji. Dodatek „Mody i roboty”: Modna sylwetka — *Well*. Arkusz wzorów.

## PROBLEM KOBIECEJ PRACY ZAWODOWEJ

### III.

*Stanowisko żony-matki w konflikcie z zawodem artystycznym.*

Walka kobiety zamężnej o prawa do pracy twórczej pociąga za sobą nieraz komplikacje o charakterze głębszym i bardziej indywidualnym.

Obmawiając naszych panów, mówimy jednak wciąż o dobrym, kochającym mężu. O rodzaju stała, jakie zżywa się najłatwiej: o parze równolatków, przyjaciół, kolegów. Czwierć wieku temu szło wszystko „cośkolwiek” trudniej. Pan mąż, znacznie starszy od żony, *zabronił*, np., śpiewać na chórze w kościele, czy grać w Filharmonji. Czemu? — on jeden wiedział i Bóg drugi. Dość, że zakaz był bezapelacyjny. Cóż dopiero, gdy pani chciała wydrukować wiersz w czasopiśmie! „Nie będziesz szargała mego nazwiska!” (Druk szargał nazwisko).

W tej atmosferze wyrosli członkowie naszego pokolenia, odziedziczyli jakiś niepokonalny lęk przed „publikacją”. Krańcowy, przecie logiczny wniosek ze starego aforyzmu, iż najlepiej, gdy o kobiecie nie mówią. (Nawiasem: najszczęśliwsza to, niewątpliwie, kobieta, jeżeli pasywność duszy roślinnej jest szczęściem). O kobiecie, która daje społeczeństwu swoją pracę twórczą, społeczeństwo mówi. To nieuniknione. Społeczeństwo zaś składa się z ludzi różnej miary umysłowej, różnej wartości moralnej. To też mówi się o wszystkim i o wszystkich — różnie. Na co kogo stać. Na jaki ogląd rzeczywistości.

Brutalne wdarcie się t. zw. filisterjum, czy mydlarstwa, w świat artystów, piętnuje ich en bloc, jako cyganów, nicponiów, ludzi bez etyki; waży ciężko na sercu, które w gruncie bije... tylko dla piękna. Ależ piękno nie może być bez dobra, jak obraz nie może być bez światła.

Kobieta więc, która np. pisze wiersze liryczne, przeżywa, zapewne, jakieś stany uczuciowe. Pewna kategoria bliźnich będzie się tedy najusilniej głowić, co to, mianowicie, za stany? Do kogo, czy o kim są te wiersze?

(A może, przypadkiem, te najciekawsze — o kimś, kogo niema wcale? Który jest we śnie; wyjawia wtedy swe Imię i planetę, na której mieszka? — co?).

Powieściopisarka podaje, niewątpliwie, te czy owe fakty, słyszane, widziane... bodaj przeżyte. Ciekawość ludzka pieni się: co? jak? kto? — Ostrożnie, kochani. Stosunek tworzywa, czyli życia, do utworu, który z tego powstał, lecz zaczął istnieć jako organizm odrębny, mający własną rzeczywistość — jest taki, jak stosunek jawy do snu. Sami dziwujemy się nieraz, jak cudaczne kombinacje przysniły się nam, choć gdybyśmy sen potrafili zanalizować umiejętnie i bacznie, ujawniłyby się fragmenty przeżytej rzeczywistości, dziwnie zamaskowane — i przekształcone.

I sen i proces twórczy — to kalejdoskop. Życie nakładło w naszą psychikę coś, jak dużo barwnych kawałków szkła. A potem następuje wstrząs (o którego naturze wiemy tyle, co nic). Kawałki szkła poukładały się w odrębny zupełnie deseń.

Mimo tych zastrzeżeń, wrażliwość osoby „dobrze wychowanej” cofa się nieraz przed ową publikacją utworu. To, jednak, straszne: rzucać swoje... barwne kawałki szkła różnym ludziom przed oczy. Tak, deseń odrębny. Ale ja wiem niemal zawsze, skąd który kawałek rodem. Wrażliwszej psychiki mężczyzna (jest rzeczą trudną, aby twórca nie miał wrażli-



wej psychiki!) cofa się przed widmem druku z podobnych względów. Cóż dopiero kobieta, dama (!), z atawistyczną „wstydlivością kasztelanki“.

Śmieszne. Trzeba i to przełamać w imię swej Sztuki, jeśli ma być czynem społecznym, nie magazynem rękopisów. Gdy wszelako dama pisząca jest samotna, odpowiada tylko za siebie. Gdy zamężna, nie może nie paraliżować czynnik: poniewiera tobą (niezawsze godna) krytyka, czy kulawe bajczarki. Ale *ty*, to wszak, uważ, dwie osoby: twórca i... żona-matka, która nie może dać sobą poniewierać. Nie jest sama. Dla podobnych względów kobieta, która nie jest sama — nosi cudze nazwisko, czyli powierzona ma sobie niejako straż nad całością cudzego dobra — ma, czasem, bardzo utrudniony zawodowy kontakt z ludźmi. Interesy zawodowe nakazywałyby nieraz zawarcie tych, czy innych koleżeńskich znajomości. Wejście w to, czy inne grono ludzi. Świadomość niebezpieczeństwa, jakie tego rodzaju imprezy, częstokroć, pociągają — paraliżuje najlepsze chęci. Może niektórym, zabrzmi to w w. XX cokolwiek dziwnie. Czyż aż tak należy strzec się złej woli: zazdrości, obmów, plotek?

Więcej: należy strzec się — dobrej woli. Należy wziąć pod uwagę fakt, że brat-artysta, najpocziwsze dziecko, bywa właśnie — dzieckiem. Roztargnionem, lekkomyślnem. Że, z nadmiaru gorliwości, odda niedźwiedzie przysługi. Że, niejednokrotnie, fantazjuje: majaczy na jawie, miesza dziedzinę sztuki z dziedziną rzeczywistości. Że wreszcie obie strony, im bardziej typowymi są artystami, tem skłonniejsze są do tych wszystkich ekstrawagancji.

Każde zaś, nieomal, grono ludzkie, gdy o nie chodzi, zawiera ludzi rozmaitego pokroju: choćby, poprostu, różnych kultur towarzyskich. To drobiazg. Ale to, jednak, coś znaczy. Co w jednych środowiskach uchodzi, to w innych wyczuwa się, atawistycznie, jako shoking, coś przykrego. Stąd rozległe pole do zadrażnień, dąsów, nieporozumień. I właśnie wśród ludzi tak wrażliwych i urażliwych, jak artyści. Przy rzetelnej sympatji, przy pokrewieństwach istotniejszych i głębszych, niż powierzchowne różnice, przy dobrej woli wzajemnego zrozumienia i poszanowania swych odrębności, można osiągnąć jaki taki stan harmonji, nawet w liczniejszym gronie przyjaciół-zawodowców. Przeważnie jednak tego rodzaju dorywcze grupy ludzi są przybytkami życzliwości bardzo niepewnej, to też kobieta, cokolwiek dbała o to dobre imię, które jest... imieniem jej dzieci, musi być nad wyraz baczna. Niejednokrotnie poświęcić musi tę tak nieodzowną w trudnych czasach dzisiejszych „reklamę“, a za nią idący sukces u wydawców, wystawców czy publiczności, dla pojęcia, które mężczyzna zwie — honor. Nie wydaje mi się, by na pojęcie to mężczyzna miał dziś monopol.

Niewątpliwie, lżejsze życie w każdym znaczeniu mają ludzie, obdarzeni poczuciem godności mniej drażliwym, sumieniem cokolwiek mniej skrupulat-

nem. Kobieta z talentem poprostu wówczas — rozpostrze się: *Ja chcę żyć!* — W potrzebie podruzgoce wszystko, co na drodze wyrosło... nieprzyjacielem talentu, czy powodzenia. Naogół jednak pleć „słaba“ winnaby zwać się płcią etyczną. Skłonniejszą do refleksyj, paraliżujących działanie zastrzeżeniami natury moralnej.

Niejednokrotnie pochyla się to skrupulizowanie w kierunku chorobliwej przesady — w otoczeniu psychicznie bezradnem, czy wręcz ożywionem złą wolą. Zrozumiałe, że urażliwość, właściwa artystom, egzergeruje każdy podmuch niechęci w kierunku ich Sztuki, w której służbie nie umocnili się jeszcze. Cóż dopiero, gdy wiew ten ciągnie lodem szyderstwa od najbliższego otoczenia, które, teoretycznie, winnoby krzepić w chwilach zwątpienia. To się jednak, chyba, nikomu nie przytrafiło, gdy chodzi o kobietę-artystę.

Na zakończenie — odwrotna strona medalu, jaką, niewątpliwie mniej często, zdarza się doświadczyć i przemysleć. A mianowicie: nie jest paradoksem twierdzenie, że szczęśliwszą jest kobieta-artystka w takim hymenie, gdzie nie panuje stustopniowa atmosfera uczuć. Gdzie dużo szacunku i przyjaźni, a najmniej gorących afektów. Ależ to upośledzenie! — Wcale nie. Proszę zważyć. Mowa była (w artykule poprzednim) o prainstynkcie męskim, który ślepo zwalcza wszelkie prawo kobiety do duchowej samoistności. A teraz mowa będzie, na dobitek, o prainstynkcie kobiecym, który ślepo rezygnuje ze swych praw do duchowej samoistności. A to, mianowicie, zachodzi tam, gdzie kobieta bardzo kocha. Całą istotą. Rezygnacja owa wytwarza się wówczas mechanicznie. Daje dużo szczęścia — nieporównanego szczęścia. Ale... paraliżuje możliwości twórcze kobiety. Czyni ją bardziej „kobietą“, niż „człowiekiem“.

Niewiasty — pleć nadobna, twór doskonały. Jeśli wszelako zdarzy się, szczególnym wyjątkiem, mężczyzna piękny i duchowo niepospolity, jest to, biada nam! najdoskonalszy twór boski. Król stworzenia. Otóż tego rodzaju pan jest władcą nad miarę groźnym. Najzjadlejsza sufrażystka, wyćwiczona w odporze psychicznym, wytrenowana w samotności i samoistności, nie poznaje siebie. Zaczyna ze swoich rygorów czynić ustępstwo za ustępstwem. Poświęca o wiele więcej czasu i uwagi personie swego władcy, niż mu się to w złotej mierze du juste nécessaire należy. Oto ten garnitur wisi w szafie dobrze. Ale, właściwie, możnaby te spodnie jeszcze ładniej złożyć... I bardzo wiele czasu, zbyt wiele czasu wsiąka, aby spodnie były najpiękniej złożone, i skarpetki najcudniej wycerowane. Żeby wszystkie potrzeby zaspokojone były nie na czwórkę, ale na piątkę z plusem. Władca może być sobie zgoła dobrotliwy. Ani tych doskonałości żądać. Cofać się z wymaganiami swemi na najdalszy plan. Kobieta z subtelnnością medjum zgaduje myśl, uprzedza żądania, zaspokaja cień pragnienia.



To, doprawdy, szczęście, że takich zjawiskowych zespołów jest na tej planecie mało. To szczęście, że tak mało jest... klasycznego, prawie boskiego szczęścia. Jesteśmy członkami społeczności ludzkiej, która ceni stany umiarkowane, zapewniające ład światu. Tacy piękni, twórcy, wiecznie upojeni sobą półbogowie — to wybryk natury. To... forma wyrafinowanego egoizmu, takie szczęście. Tym dwojgu nie trzeba już, na dobrą sprawę, nic, gdy są razem.

Twórcy zaś potrzeba możności tworzenia. Swobody. Dlatego nie może być aż tak szczęśliwy, doskonały, uzupełniony. Musi sam uzupełniać siebie, potęgować, doskonalić — w swej Sztuce.

Użyto w zdaniu ostatniem rodzaju męskiego. Bo rzecz tu obojętna, jakiej płci jest twórca. W tej walce o prawo do pracy twórczej dochodzi bezcenny czynnik przełamania, w imię Sztuki, swych praw... do szczęścia.

Zofja Reutt-Witkowska.

## KTO NAPISAŁ „MALWINE”?

2)

Pętają się po memuarach plotki i nieplotki rozmaite. Pisze np. Dembowski: „W tym także czasie (1796) ks. Eustachy Sanguszko (ten od Julji w grobowcu) starał się o rękę księżnej. Dlaczego mu odmówiła, nie pojmuję, tembardziej, że miała do niego skłonność. Całe te niefortunne konkury zatopione zostały w Pożogu w wódce i winie”.

Do ślicznego Maksymiljana Fredry miała księżna Marja skłonność również. O tem wszyscy wówczas wiedzieli, a Koźmian-syn zanotował: „Fredro... będąc młodym, kochał się silnem uczuciem, tak, jak się wówczas kochano, w księżnie Wirtemberskiej, która, nigdy nie zбочywszy z drogi cnoty, lubiła, jak to sama wyznawała, podobać się, kochać, być kochaną, wabić, trochę bałamucić, słowem — dogadzać swojej romansowej wyobraźni”. W takich warunkach nietrudno sobie wyobrazić współludźcia autora „Haralda”, nad przykrojem, a może i wogóle uszyciem polskiej szaty dla utworu księżnej.

Więc kto napisał po polsku *Malwinę*? Autograf powiada, że księżna Wirtemberska; wieść współczesna — że Maksymiljan Fredro. Rozstrzygnąć sprawę łatwiej, niżby się zdawało. To się da nawet ściśle obliczyć. Tak. Trzeba wziąć rękopisy polskie (listy, notatki, urywki) ks. Marji, które znajdują się w Archiwum Domowem XX. Czartoryskich w Krakowie. Cała półka. Przejierałem ją w r. 1918. Potem przestudjowałem podobnie „traiczne” utwory wesołego Maksymiljana. Potem to wszystko dodać w kratkę, pomnożyć, odjąć i zważyć, wedle niezawodnych metod stylometrii, wprowadzonych u nas jeszcze przez K. Szajnochę, gdy przysądzał „Wojnę Chocimską” Wacławowi Potockiemu.

Roboty i to katorżnej dość na dwa miesiące, ale trud wdzięczny. Podjąłby się go mogła która z pańpolonistek Wszechnicy warszawskiej, dajmy na to. A wynik dodatni, na korzyść Fredry, nie umniejszą wcale zasług znakomitej pisarki. Bo cóż? Poszła po radę do fachowca w mechanizmie stylu, tak, jak my dziś pytamy się mechanika w razie defektu Rolls-Royce’a. Przy tej sposobności inne panie-polonistki (mamy ich wszak niemało) mogłyby przeprowadzić

podobny rachunek sumienia z wszystkimi autorkami naszymi z przelomu dawnego i nowego czasu. Trzeba by się przedewszystkiem rozpatrzeć w pisarstwie tych wielkich pań, które stać było na współpracownictwo. Więc: ile jest korekty Fr. Bernatowicza, czy innego Ursyna Niemcewicza we wszystkim, co na starość pisała Izabella Czartoryska. („Pielgrzym” w Dobromilu”, „Myśli o ogrodach”). Czy jaki Książnin, wzdychający również do Malwiny, nie ułożył takiej np., wcale zręcznej piosenki gitarowej w tej powieści:

Być kochaną, jak się kocha,  
Znaleźć duszę do swej duszy —  
Czyliż to prośba zbyt płocha,  
Co niebios nigdy nie wzruszy?



Współpracownik ks. Wirtemberskiej Maksymiljan Fredro.  
(Archiwum Fredrów w Siemianowicach).



Można pójść nawet dalej i dostrzec rękę sławnego Ibusia Ostrowskiego w powieściach pani Jaraczewskiej. Kuzyn jej, J. Krasiński wspomina, że tenże Ibus, tęgi stylistą z „Nowej Polski“, zajmował się polską redakcją utworów Jaraczewskiej. Więc materiału do obliczeń stylometrycznych jest dość. Na dwa lata conajmniej.

Nierychła i schowana w sprawach sercowych nie kwapiła się też autorka *Malwiny* do uwiecznień na portretach. To bardzo znamienne, że gdy cały ród Czartoryskich dawał się malować i rzeźbić co chwila, siedząc skwapliwie wszystkim znakomitościom pokolei do portretu, ona zaś była i w tej mierze oporna. Zawsze i wszędzie powtarza się ten jeden jedyny, a bardzo „czuły“ jej portret z galerji Czartoryskich w Krakowie. Malował go — trzeba zapamiętać wobec częstych bałamuctw — *F. H. Füger* (1751 — 1818), dobrej marki portrecista ośmnastowieczny, nadworny malarz Burgu wiedeńskiego. Idąc za głosem czasu i życzeniem modeli swoich, mitologizował każde zamówienie mniej lub więcej gładko. Więc Henryka Lubomirskiego ubrał w zbroję rycerza rzymskiego, ordynatowej Zamojskiej, tej polskiej lady Hamilton (z piękności zarówno jak i z różnych Greuze'ów, Gerard'ów, Isabey'ów), kazał być Psychą w skrzydłach i z lampką w dłoni.

W jakiej postaci chciał uwiecznić autorkę *Malwiny*, nie umiem określić dokładnie. Jakaś druidessa osjanicznego rodzaju, ale bardzo barwista: na tle nieba zachmurzonego złoto-brunatna sukienka z podwójną purpurową wstążką w stanie, płaszcz szafirowy, zawój brunatno-popielaty. Całość nieco łzawa i w nieco drewnianym tonie. Robota akademicka, wzorowa. I chyba bez pochlebstw *en beau*.

Nieoznaczonego, ale dobrego pendzla miniatura wyobraża rysy Maksymiljana Fredry. „Lubię, głopcze, żeś mi zwawy!“ Patrząc na taki pyszny, podręcznikowy wprost egzemplarz rasy polskiej, można mu snadno wybaczyć różne grzeszki żywota. A jeśli się okaże, że istotnie uczestniczył w genezie *Malwiny*, to dobrze. Bo w zgiełku zatrudnień życiowych nie miał później czwarty Fredro zbyt wiele czasu i ochoty na twórczość literacką.

Z wydarzeń, tu opowiedzianych, dwa mi się podobają szczególnie: Ten stary Wężyk, który, idąc Nowym Światem, niby to nie chce zbliżyć się do pań puławskich, „aby im hołdował“. A one puszą się wyśoko, od Boga zesłane. I ta potem scena w Marynkach: Nad biurkiem pochylona siedzi ks. Wirtemberska i czyta zakochanemu wisusowi zdanie po zdaniu, radząc się, czy aby dobra takowa eksplikacja, gdy się napisze: uczucie „niewypowiedziane“. I westchnienie „naygłębsze“?

*Stanisław Wasylewski.*



KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA

## OGRÓD LIPOWY

*Lipa nad całem dzieciństwem schylona  
sypie kwiat drobniutki, złocistą monetę...*

*Och, jakie słabe ramiona  
i oczy — nie te!*

*Włos cienki, cienki, prawie aż przejrzysty,  
suknie koronką i bielą puszyste,  
nad całem sercem niebo takie czyste!*

\* \* \*

*Po zamkniętym lipowym ogrodzie  
nie trzeba we śnie przechodzić,  
bo tam lipy stoją pośnięte,  
bo tam nowe ścieżki przecięte.  
Gdy się budzi kwiat i pachnie po nocy,  
szepcząc: „W dzień — słońce, w nocy ja się złocę...“  
— nie trzeba przelatywać z płaczem jak puhacz,  
bo na straży już tam ktoś milczący w cieniu czuma.  
Nie trzeba kolatać do bramy, bo cudza,*

*nie trzeba wołać — umarli się zbudzą...  
Rządkiem leżą pod murawą niedaleczko,  
opasani niskim murem, małą rzeczka;  
pokruszyły się ich groby na okruchy,  
wzrosz przebiega po nich wonny, giętki, suchy,  
pokłoniły się ich krzyże wszystkim burzom,  
podczizwały — perski bez i białe róże...  
Nie tęsknią do nikogo kości szeleszczące,  
z ostatnich pyłków próchna dusze się otrząsły.*

*O niech zalegnie milczenie i tutaj,  
niech serce lip wonnością zatrute  
otrząśnie się z przeszłości niby wieczność z trupa!*



## W SZPITALU

2)

Pannie Zosi Sawanierskiej...

Ubrano ją w kaftan, bo co chwila wyskakiwała z pościeli, grożąc, że wypali komuś oczy, że zabije, wygoni precz tę rozpustnicę, która jej zabrała męża. Przywiązana do łóżka, szarpała się i miotała, niby nędzniczka, karykaturalny, żeński Promoteusz. W okropnym ryku, jaki wyrzucało jej wątle gardło, wykrzyczała całą tragedję swego życia, związanego z czarodziejsko-ponętnym mężem, rymarzem, Don Juanem pierwszej wody.

Zosia, słuchając ze zgrozą, ale bez cienia współczucia w zimnem panińskim sercu, dowiadywała się, że ten niecnota wszystkie pieniądze wynosi z domu i przepija z córami ulicy, że jedyną swą małą córeczkę lży ordynarnemi słowy, a ją, żonę, bije.

Wyrzucała z pod kołdry chude nożyny i pokazywała oczami sine, szerokie, półkoliste piętna. Mogły to być istotnie ślady kopnięcia obcasem.

Salę zalegała absolutna cisza. Siostra już odeszła w głąb gmachu, dawszy warjatce, z polecenia doktora, jakieś niezbyt skuteczne lekarstwo. Pielęgniarka zajęła zwykle miejsce, a głos „pani trzeciej” rozbrzmiewał ostro, groźnie, rozpaczliwie. Powtarzając się raz po raz, snuła w huraganowem tempie historję swego okropnego życia.

Chciała oszukać zły los, wymknąć się nędzy. Oddała dziecko na wieś, pojechała do Nałęczowa, miała protekcję lekarzy, pracowała w sanatorjum, pielęgnowała „taką bogatą osobę”. W jednym tylko sezonie zarobiła sześćset złotych, poprawiła się, odżyła. Wróciła wreszcie do męża: przysięgał, że wszystko się zmieni, owszem, wyszedł po nią na dworzec, odwiózł do domu, pożyczył z jej oszczędności trzysta złotych i poszedł...

— Poszedł na całą noc z domu — ryczy nieszczęsna kobieta — na całą noc... a ja byłam taka ładna, ja ważyłam wtedy sześćdziesiąt trzy kilo...

Ryk przechodzi w bezradne chlipanie:

— Sześćdziesiąt trzy kilo...

Zosia bardzo się dziwi, że takie filigranowe stworzenie mogło na sobie pomieścić aż sześćdziesiąt trzy kilo tłuszczu.

— Ona go kocha „mnóstwo zabardzo” — mówi stylem murzyńskim, wtulając głowę w poduszkę, a na drugie ucho nasuwając kołdrę. — Nie można robić tyle wrzasku o jednego mężczyznę.

Zamyka oczy. Będzie spała. Grunt się nie przejmować. Okultyzm wschodni powiada: „Kobieta, niezaspokojona erotycznie — to potężna siła kosmiczna, która zwraca się niszczyliście przeciw sprawcy swego nieszczęścia, a gdy go osiągnąć nie może — przeciwko samej sobie”.

Zofja podkłada ten aforyzm, niby jasięk pod głowę, i próbuje zasnąć, gdy nagle, jak rakieta, wybucha z ust „pani trzeciej” nowy ryk:

— A ja nie jestem morfinistką. Nie! Byłam kiedyś, tak; ale teraz nie. Cztery dni już leżę w szpitalu i ani jednego zastrzyku...

Zofja siada znów na łóżku. Nigdy nie widziała morfinistki. Chora wyczuwa jej wzrok i reaguje natychmiast z oczami ziewającemi nienawiścią.

— Pani jest, zdaje się, osoba „jęteligentna” — zaczyna agresywnie...

Zosia nie słucha. Podskoczyła na łóżku, jak ryba na patelni, i znurkowała pod poduszkę.

Gdy wyjmuje stamtąd głowę, jest już dzień. „Pani trzecia” skowyczy gdzieś jeszcze za ścianą o swej małżeńskiej niedoli. Siostra rozda je termometry, a „pani piąta” mówi:

— Że też pani mogła spać...

— Zabrali ją? — pyta Zosia.

— Zabrali i odwieżą do Jana Bożego.

Dopiero teraz odrobina współczucia wykwitła w duszy młodej panny.

\* \* \*

Dnie upływają, ale serce Zosi ciągle jeszcze potrzebuje wypoczynku.

— Jeszcze dziesięć dni... jeszcze tydzień — mówi doktor.

Nikt jej nie odwiedza, prócz koleżanek. Matka przyjeżdżała raz tylko ze wsi. Zosia wie, różne tam okoliczności, wydatki... oszczędność przymusowa, ale dostaje powoli rozstroju nerwowego. Ma czasami wrażenie, że te wszystkie cierpiące, numerowane panie rzucają na nią złe uroki, spiralne pociski swych dylegliwości, a ona nie znajduje już siły, aby się bronić.

Za oknami szpitala przemija lato, strzelają w nocy rakiety Luna Parku. Zofja leży po całych dniach z rękami pod głową. Nie czyta i nie rozmawia. Usiłuje przeniknąć bramę śmierci, tajemnicę, ku której, niby Charonowy pacholek, odprowadziła już tyle kobiet. Nie знаła tego dawniej, przed swym pobytom w szpitalu nie widziała konającego człowieka. Nie straciła nikogo z bliskich... Ach, tak, prócz ojca...

Prócz ojca? Czy ojciec — to jest taka drobnostka, że życie bez tej niewiadomej układa się jednak prawidłowo i normalnie?...

No, tak, prócz ojca...

Zosia miała cztery lata, gdy straciła tego zupełnie obcego człowieka. Nie zatęskniła za nim nigdy. Nie cierpiała głodu, ani jakichkolwiek braków tak zwanego sieroctwa. Uczyła się, bawiła, miała miłość matki. Chowala w pamięci jednak dwie klisze. Dwa całkiem martwe obrazki — wspomnienia o ojcu.

Siedzi więc taki pan przy stole i patrzy na nią bez uśmiechu. Patrzy specjalnie na nią. Myśli coś, czem nie zamierza się dzielić ze swoją trzyletnią córką.

Drugi: stoi na ganku w białym płóciennym kitlu. Przyjechał właśnie z pola malutkim wehikułem. Zosia nie widzi twarzy, widzi siebie. Kurczowo trzyma oburącz połą białego kitla i ze straszna, wewnętrzną pasją powtarza: „koń... koń... koń...”.

W chwilę później siedzi już na koniu. Prowadzi go chłopiec stajenny, ciotka trzyma malutką amazonkę za nogę...

Jedynie więc o ojcu wspomnienia — to twarz bez uśmiechu i biały kitel bez twarzy. Umarł daleko od domu, w podróży. Matka powiedziała: „Nigdy już nie zobaczysz ojca. Niema go”.

Wtedy spytała:

— A gdzie się podział?

Nie czuła najmniejszego żalu i tak wyrosła. Dopiero teraz, po latach dwudziestu, gdy garsteczce jego kości tylko anatomja nadałby jeszcze mogła imiona,



przychodzi do niej myśl o nim. Myśl, wyłoniona ze śmierci tych wszystkich kobiet, które tutaj konały.

Podchodzi więc do tajemniczej bramy. Jest już tak blisko, za chwilę przeniknie na tamtą stronę. Ach, nie, tylko łzy rozczulenia nad samą sobą zalewają twarz i ręce. Nie wie, dlaczego płacze. Poniosła oto niepowetowaną stratę — dziś dopiero ocenia jej doniosłość.

Nie знаła swego ojca. Nie pozna go nigdy. Nie odbuduje ze słów matki — czyż mogła go rozumieć ta kobieta? Napewno nie. Mogła się go najwyżej nauczyć napamięć. Nie dokonywa więc miłość najbardziej lojalna. Tak przynajmniej „mądrzy się” Zosia. Znać i rozumieć go mogła tylko ona, jego córka.

W tajemniczym dziedzictwie krwi i komórek, w podświadomych odruchach i szarpnięciach się duszy leżą te nici, koniuszeczki tych nici, którymi związane były ściśle dwa jestestwa: ojca i córki. Zofja chciałaby je znów połączyć, chciałaby odnaleźć tę brzołę, którą jego myśl wyżyłobiła w świecie ducha. Chciałaby odszukać ślady jego tęsknot i ideałów w najlepszych drgnieniach własnej duszy. Biega więc po jej zakątkach, bada wszystko frasobliwie — nie znajduje.

Ciasna jest jej duszyczka: grzeczne, karne uczucia; porządniutki, moralniutki odruchy; praktyczna, czyściutka filozofja, dowcipniutki światopogląd...

Zofja wylewa gorzkie łzy:

— Nie mogę znaleźć mojego ojca, niema go. Umarł, umarł naprawdę!

Zaczyna mówić do niego, jak do kogoś, będącego po tamtej stronie, ale mogącego podejść bliźniutko do granic świata widzialnego i usłyszeć. Obwinia go, że odszedł tak wcześnie i nazawsze zwichnął rozwój jej duchowy. Że nigdy jej przyziemne „myślątka” nie zazębiły się o szerokie skrzydło jego męskiej, samotnej myśli, a uczucia panińskie o rytm jego serca. Że nie było nigdzie na świecie tych kilku metrów kwadratowych ziemi, nakrytych dachem bezwzględniego bezpieczeństwa, gdzie on był panem i dokąd uciec możnaby było zawsze, od każdego nieszczęścia i po każdej porażce...

Nie mogąc odnaleźć żywego, chce Zosia postawić pomnik swemu zmarłemu Ojcu. Nie z marmuru lub piaskowca, ale jedyny pomnik, godny jej wielkiej, choć tak późno rozkwitłej miłości: pomnik z dobrych czynów. Przechodzi w myśli swoje życie i dziwi się własnemu egoizmowi: gdzie, kiedy, co i dla kogo zrobiła? Ach, doprawdy, wstyd powiedzieć! Idzie zawsze za podmuchem czułościowości lub „dowcipności”. Z zasady więc daje jałmużnę jednonogim kalekom: tacy biedni, nie mogą biegać, ani nosić ładnego obuwia! — ulicznym grajkom: przykro jest bowiem, gdy sztuka wyciera chodniki; — sprytnym nabieraczom, którzy, wyciągając rękę, „bujają” przechodnia: nie może Zosia patrzeć na takie sponiewieranie męskości...

Koleżanki uważają, że Zosia jest bardzo dowcipna, i to jej wystarcza. Teraz wszystko się zmieni. Będzie czyniła dobrze, dokładając do ofiary najlepszą intencję. Zaczyna natychmiast i rozdaje wszystkie pieniądze, jakie ma w woreczku, pomiędzy przy-

słowiowo „gołe” otrutki. Najbardziej opuszczonym paniom rozdaruje owoce i kwiaty, które jej przynosiła koleżanka.

Płacze też po całych dniach.

Siostra Wiktorja zapytuje niemile:

— Co się z panią właściwie dzieje?

Zofja odpowiada mruknięciem i posyła w myśli wniebowziętą Saragosiankę do wszystkich aniołów.

Doktór jednak przychodzi z pomocą i bez dalszych indagacyj zapisuje zdenerwowanej pannie parę gramów pogody ducha... in oblati.

Lekarstwo skutkuje i Zofja zwolna wraca do równowagi.

\* \* \*

Nastroje szpitalne falują od nadziei do depresji — niby rzeka, poruszana wiatrem, a pobyt dłużej się, jak ciemna noc listopadowa, kiedy to człowiek zdąży i rozczulić się nad samym sobą, i wspomnieć ubiegły karnawał, zrobić w myśli przegląd garderoby, potęsknić do miłości, wymarzyć nowy fason piżamy i odmówić pacierze za tych, co nigdy się nie modlą...

Życie na sali Nr. 3 opasuje taśma surowego regulaminu, zapięta na podwójną, cyzelowaną klamrę: taktowny uśmiech doktora i seraficzny profil Siostry Wiktorji.

W środku sali, na każdym numerowanym łóżku — odrobina niedoli kobiecej. W sumie — odor di femina, zgęszczony do granic, jakich nie wytrzymują normalne nozdrza i płuca. Nadprodukcja fluidu żeńskiego.

Zofja wie, że gdyby nie ta sznurowa, jedwabna drabinka marzenia, zarzucona na ścianę absolutnej niemożliwości, u której szczytu znalazła nieistniejący ślad swojego ojca i podmuch iluzoryczny jego dawno zgasłego życia — byłaby ugrzęzła w ordynarnej hysterji.

Dziś jest już zdrowa i doktor powiedział z powagą, używając liczby mnogiej, jak osoba, dzierżąca władzę:

— Dobrze, jutro wypiszemy panią.

Przyjechała też i matka, aby zabrać córkę ze szpitala. Zosia jest gotowa do drogi. Pożegnała wszystkie panie, włożyła kapelusz i rękawiczki, pozdrowiła spojrzeniem cudowną sylwetę Siostry Wiktorji, wyglądającej na tle tej sali, jak serafin, wykrojony ze świętego obrazka i nalepiony gumą arabską na byle jaki ziemski widoczek.

— Idziemy? — pyta matka.

— Tak, zaraz — odpowiada Zosia — raz tylko jeszcze popatrzę... — A w myśli szuka tej najistotniejszej prawdy, którą, niby syntezę swoich szpitalnych przeżyć, chciałaby zabrać ze sobą.

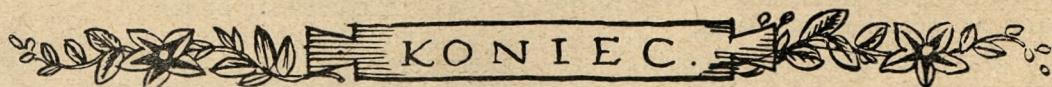
Matka się niecierpliwi:

— Chodźże, Zosiu, do domu! Jesteś taka dziwna...

— Idę — odpowiada panna, ale nie idzie, tylko patrzy. Wreszcie ruchem zdecydowanym zwraca się do matki:

— A więc... do domu. Ale po drodze opowiedz mi, proszę, jaką wesołą bajkę, bo ta, którą tutaj przeżywałam, jest bardzo smutna...

S. Borowska.





## W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

III.

Sofos Jasna

Pisał Słowacki latem 1844 roku do Pani Bobrowej z nad Oceanu, gdzie leczył swą chorą duszę:

„Czy to jest dziełem farfadetów, a sług Pani, że tu zjechała do Pornic jedna osoba, trochę postacią i oczu błękitem i czarnem ubraniem Panią przypominająca? Poco egzystują na świecie te fałszywe semitony podobieństw, które, jak muchy, brzęczą koło ucha i ciągle utrzymują w niespokojności?”

Podobieństwo było złudne, a jedynie suknia była taka sama — czarna.

Zofja Mielęcka przyjechała z Feliksem Węgierkim nad Oceanu wszystko przebaczące brzegi, nie wiedząc, że śmiałości jej ktoś da błogosławieństwo szczęścia.

W noce, spędzane wśród szumu fal, głośnych, jak burza, a kojących, jak kołysanka, tuliła się do ukochanego i słuchała słów poety — potwierdzenia nieodzowności uczuć jej dla Feliksa.

„Feliksie, Szczęsnym odtąd będziesz nazwany...

Pozwólcie, że w dzień ślubu — ja, wasz brat, przyniosę Piękną lampę...”

Wiązał im ręce, aby się już nie rozstali. Aby śmierć nawet węzłów tych nie była w stanie rozwiązać. Może dopiero nieuniknione zapomnienie. A może nigdy i nie...

U nóg poety, nad brzegiem Oceanu, na złotym mikowcem usianych piaskach, na wietrznych polach, bladym okrytych kwiatem, siadywała kobieta młoda i piękna, jak anioł, z rozjaśnionymi oczami, jakoby owych rozjaśnień chciwa. W ręku jej wianek był, podług genezyjskich nauk symbolicznie uwity, ze zwierciadlanego liścia cytrynowego krzewu, ze stokroci polnych, rubinami konicznymi — republikanin ducha — rumieniący się! W owe letnie noce muchy świecące zlatywały się do wieńca i aureolą go otaczały. Wieńca tego na skronie poety nie kładła, ale światło jego kierowała na twarz ukochanego. Obok niej siedział wybrany, dla którego węzły doczesne poszarpała, któremu serce i duszę swą niewolniczo oddała, za którym poszła, gdzie chciał, i zawsze już iść będzie. Oboje jaśni, smętni i rozmiłowani, dla nauki ducha prawdy gotowi opuścić świat uciech, wsłuchani w niebios.

Słowacki zdobył ich duchy! Oto wymarzona przez poetę, globowa kolumna trójcy, której był nauczycielem, przed którą, na wzór Platona, djalogi miewał. Genezyjskie to były djalogi.

Słuchacze prawdy, uczestnikami byli w widzącej wierze, ciekawi jej i posłuszni szli za głosem Tłumacza Słowa, który możność im dawał zdobycia Jeruzalem słonecznej. Fale Oceanu niosły radość, iż wszyscy synami bożymi jesteśmy, iż wszystko, przez nas wypracowane, nasze jest; co wiarą stworzymy sobie, to się nam staje tu i wiecznie... Oni też skłonni byli rozróżnić wzniosłą istotę rzeczy, od jej zewnętrzności lichej, dla nich też wszystko było jeno przypomnieniem dawnego bytu i dawniej już widzianych światów. Nauka poety potwierdzała prawdę nieodzowności uczuć wzajemnych, miłość dzisiejsza przeżyta raz już była i w wiecz-

ności zapisana na ich imię. Spiorunowane zostały dwie modlitwy w jedną modlitwę, dwie siły — w jedną siłę — dwie miłości w jedną miłość.

Niekiedy chodzili patrzeć na druidyczne kamienie — wyspy przeszłości, rozsiane na morzu dnia dzisiejszego — dolmeny i menhiry. Z granitowego bloku wylaniają się kamienne postacie, rzeźbione przez czas, wiatr i słońce. Czas, wiatr i słońce rzeźbiły kamienne figury, nadnaturalnej nieraz wielkości, dawały im kształty zwierząt, ludzi pierwotnych i ich pierwotnych narzędzi obrony: strzał, maczug i siekier. Lud, czy mędrce każdego nowego pokolenia utrwalali stare nazwy, lub nowem chrzcili je imieniem, powietrze zaś patynowało patyną wieków i kamień bratało z mchem.

Latom urągając i łamiąc prawa równowagi, grupują się one w dziwne zbiegowiska: na wzór rycerzy, zasiadają dokoła niewidzialnego stołu, długimi alejami idą do nieznanego celu; w kwadrat — niby wiec starszyzny — stają, rozsypują się bezładnie w stronę wschodu lub zachodu, do morza ciągnąc, lub od niego uciekając.

Niekiedy oddzielnie wznosi się wielki stół ofiarny. Z barana bogom składali daninę kapłani, czy człowieka ciało nieczyste szło pod nóż?

Stąd, dwa tysiące lat przed Chrystusem, sybilijskim współczesne kapłanki obwieszczały wiedzę tajemną, do dziś niezbadaną.

Mijały lata, jak mijały dziesiątki lat. Straszna groźba zaległa umarłe cmentarzysko: Święty strach brać kamienie na świątynie nowych bogów! Choćby na świątynię Boga żywego!... To też do dziś trwają przedhistoryczne cmentarzyska, deszczem się napełniają prawiekowe łzawnice...

Każdy kamień stróża ma swego, czy opiekuna, który paprocią go przyozdabia, owija jeżyną, ogródek Adonisowy dokoła zasadza. Czasem bodiak rośnie w osobnej ziemi, niby w doniczce. Groszek nawet zjawia się tu, jak w Polsce pachnący i wrzos buraczkowo-rudy, fiołkowy, bżowy, aż prawie biały. Sprzedają go dziatki, po monumentach chodzące, wesołe stróżki i dobre duszki mogli.

Pokazywały na słońce, pokazywały na Zofję, jakaś niezrozumiałą przedwiekową mową zachęcając do kupienia.

Feliks brał je i dawał ukochanej:

— Życzę, aby ci słońeczko wiernie i jasno świeciło...

Zofja uśmiechała się do niego i kwiatów, ale patrzyła na dawne groby:

— Człowiek musi istnieć po śmierci, skoro od zawsze ciężkim kamieniem go przytłaczają...

Szła, błękitnymi oczyma przebijając tajemnice, Cererze, żytniej bogini podobna — biały posąg, któremu w szatach jedwabnych za ciasno; szła, zapomniawszy o świata rozbojach i złościach, owieczka białością i losem... Cała rozfalowana uczniem, z oczyma, co klejnotów podobne ogniskom, z rubinem, który z ust jej światło leje. Pełną owej chwili przeczuć była i pamiętek...

Z krainy przeszłości, gdzie nałykała się pyłu wieków, wracała do Oceanu, bardziej jeszcze starego i pewniej — nieśmiertelnego.



Poeta szedł za nią, zasluchany, zdało się, w sobie. Z duszą pełną zachwyków:

„I oto mówię, że piękna kobieta,  
Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów utuda,  
Lecz może, w duchu będąc, robić cuda“.

Formą swej czystej piękności Zofja okazała się Słowackiemu być godną prawd objawicielki i uczuć kapłanki — Sofos nazwał ją Jasną.

Na Sofos Jasną patrzył nietylko z zachwytem, ale i z miłością. Książkę jej nabożną ofiarował: „Siostrze najukochańszej po duchu“.

Widział ją w różnych wcieleniach i widział ją w realnych kształtach swej przyszłej poezji. Pani Bobrowa żadnej w nim nowej gwiazdy nie zapaliła. A ta kobieta, to jest kobieta wieczna, kobieta kosmiczna, materialny symbol kobiety-człowieka, Helios stanowiąca niegdyś, z dziś znów wybranym Heljonem, pierwszą parę świata — prowadząca ludzkość do celów finalnych.

Magnetyzował ją sercem, aby łatwiej siebie w przyszłym królestwie bożem odnalazła. A może dlatego, aby mieć kogoś do siebie podobnego, co jego zawoła językiem? Rozkochał ich w celach globowych i wiódł w świat złoty, w świat sokratesowy. Pograżał się nie w księgi, lecz w żywe serca i duchy.

Ślub mistyczny, dany przez poetę, nowe na miłość Feliksa i Zofji zlał blaski. Nie dość jednak im było platońskich słuchać dialogów, teraz nie na skałach oceanowych, lecz w ciszy mieszkania Juljusza, chodzili po mieście świata, własne w niem znacząc ścieżki.

W letnie noce, pijani winną swą miłością, po ogrodach się przytulali i po kawiarniach pili nektar żywota. W gorące dni, od skwaru się chroniąc w hotelowym pokoiku, żyli poezją. On czytał, a ona z różnokolorowych paciorków plotła woreczek na pieniądze, nie dobierając białych do niebieskich perełek, ale, jak igła sama dosięgła. „Caprice“ się to nazywało. Bohaterki Musseta w tejsze chwile dla mężów swych to samo w pałacykach na Passy czyniły. A przed paru laty Gabryella — nauczycielka dzieci hr. Zamojskich — ukochanemu bratu na prezent.

Młodość zakochanych kołysał Wiktor Hugo.

Wiersze jego — hufiec to nielada, dziesięć tysięcy z czasem ich było!

„Hufiec to nielada, skrzydlaty, jak orłów stado, kolorowy, jak obraz Rubensa, potężny, jak genjusz, ognisty, jak błyskawica, a jak piorun, zapalny“ — potem przypominała sobie Zofja.

Raz poszli do teatru Włoskiego; teatr Włoski

był tam, gdzie dziś Bank Francuski, obronny zamek Króla Złota, w podziemiach skarby bezużytecznie przechowuje. Normę śpiewała Giulia Grisi — para najpiękniejszych czarnych oczu całego Paryża.

Publiczność w większej części była włoska. Entuzjazm też włoski, nieznany, niepojęty we Francji. Klaskano, tupano, krzyczano. Byli tacy, co na głos płakali. Kobiety mdlały, dostawały palpacji serca.

Oparci o aksamit kolumny, podpierającej łożę, bardziej jeszcze oparci o siebie, słuchali tego śpiewu, niby głosu nieminionego szczęścia. Dusze ich razem były — nie przy sobie, nie obok, lecz tak razem — jak tylko na ziemi razem być można.

W łożach, prócz dam wielkiego świata, siedziały lwice i gryzетки, równie, jak tamte, otoczone modną młodzieżą.

Wychodząc z teatru, Feliks prowadził demokratyczną edukację swej miłej:

— Widzisz, kochana: Francja obaliła dawne formy, ale nie wytępiła dawnych idei. Kilka rewolucyj, które wstrząsnęły posadami starej Europy, porządek społeczny, zdawało się, do gruntu zmieniły. A tylko zmieniły żaboty, batystowe koszule i jedwabne fraki na czarne paletoty, czarne kamizelki i czarne krawaty. Dusze zostały takie same — burżuazyjne. Jakże zresztą może być inaczej, skoro panuje Ludwik Filip, król ośmieszony, z którego głowy lalkę na fuarach czynią, amatorzy do niej jabłko rzucają i szczęśliwy ten, co trafi... Dostaje dobre cygaro...

— Francuzi tacy dziwni! Sztuka robi się na obstalunek, jak odzienie: tyle obwodu na czułość, tyle cali na dowcip, a tyle na wesele...

— Jednakże lubisz Paryż? Chciałabyś tu mieszkać?

— Nigdzie nie chciałabym mieszkać bez ciebie... A z tobą wszędzie chcę mieszkać.

Raz w Luwrze patrzyli na obraz Watteau: Podróż do Cytery.

Świat, który daleko już odszedł, gotował się na wyprawę po szczęście.

Dusza Zofji śpiewała pieśń, którą kiedyś w żalu i smutku bez powrotu powie jej pióro, szepcząc złudzenia ubiegłej wiosny:

„Płynymy, nie dbając o wczoraj, a łaknąc tylko jutra, nie oglądając się na brzeg opuszczony, a tylko tęskniąc za nieznanym światem rozkoszy, gdzie nie zachodzi słońce, gdzie miłość nie stygnie, gdzie żona jest kochanką, a kochanek mężem... Dalej, dalej do ideału, bo takie jest prawo miłości...“

Miłość jest nienasycona, leci a leci, coraz nowych szukając zachwyków...  
*Aura Wyleżyńska.*

## PIERWSZA POLSKA DZIENNIKARKA

(wspomnienie o ś. p. Bronisławie Neufeldównie)

Płynny, lotny i błyskotliwy jest świat dziennikarski. Sporo w nim prawdziwych talentów, dużo ludzi z „żyłką“, ale mało takich, którzyby swój zawód traktowali, jako powołanie.

Taką dziennikarką z powołania była świeżo zmarła ś. p. Bronisława Neufeldówna, pierwsza w Polsce kobieta, która jęła się odważnie pracy w gazecie codziennej i wytrwała przy biurku redakcyjnym pół wieku, niemal do ostatnich dni swego życia.

Dzisiaj kobieta, chwytająca wlot strzępki rzeczywistości w szalonym kursie wielkiego dziennika, w tempie powyżej stu, wśród alarmu dzwoneków telefonicznych, pod gradem Underwoodów, w chmurach dymu tytuniowego, w takt nosowych litanij Radja, miarowego huku maszyn, zgrzytu nożyc, szelestu płacht papierowych, błyskawicznych posunięć pióra — łupinka, żeglująca nieraz bez busoli po odmęcie wiadomości, pogłosek, plotek, zawiści partyjnych, para-



doksów i sofizmatów chwili, — stateczek, któremu jedna minuta opóźnienia zapala złowrogi sygnał niebezpieczeństwa S. O. S. — zwinna zawodniczka w rekordzie szybkości — to dziś zjawisko tak pospolite, że nie wzbudza specjalnego zainteresowania.

Ale w roku 1882, kiedy entuzjastki zaczynały schodzić do grobu, a pierwsze emancypantki obcinały sobie włosy — młoda dziewczyna z dobrego domu, która włosów nie obcięła, zamąż wyjść nie chciała, ale odważnie zasiadła przy biurku redakcyjnym, była zaiste dziwowiskiem, wydarzeniem bezprzykładnym.

Co pchnęło Bronisławę Neufeldównę na tę drogę? Jak to sama skromnie wyznawała, prosto przypadkiem. Po krachu materialnym, jaki spotkał jej rodziców, musiała zabrać się do pracy zarobkowej. Cóż mogła robić wówczas młoda panna z „domowym wykształceniem“? Mogła zostać nauczycielką, również „domową“, t. zw. „gubernantką“ w bogatej rodzinie, jak to zrobiła Żmichowska, albo wyrobnicą pedagogiczną, płatną od godziny, zdzierającą zdrowie i bućki po piętrach wielkiego miasta. Nędzny chleb i marna dola!

Spróbowała i Bronisława Neufeldówna tej udeptanej ścieżki, ale wprędce przekonała się, że to nie dla niej droga. Obudziła się w niej żyłka dziennikarska, odziedziczona po stryju, kierowniku „Jutrzenki“. Dzięki znajomości czterech języków obcych, została przyjęta do „Nowin“, redagowanych przez Prusa, później do „Gazety Polskiej“, założonej przez Leopolda Kronenberga w celu dania zarobku zesłańcom, wracającym z Syberji. Jednocześnie pracowała w „Prawdzie“ Świętochowskiego.

Prus i Świętochowski — to były dwa wielkie duchy, których wpływ i przykład kształtował żywy umysł i szlachetne serce młodej pionierki kobiecego dziennikarstwa. Mówiła o nich ze czcią, jako o swoich mistrzach niezapomnianych. Praca pod ich kierunkiem była czemś więcej, niż szkołą zawodu: była szkołą charakteru.

Od roku 1905 ś. p. Bronisława Neufeldówna weszła w skład redakcji „Nowej Gazety“. Była to może najciekawsza, najbogatsza we wrażenia faza jej pracy. Przed jej biurkiem przewinęła się cała ówczesna „Młoda Polska“ — pisarze, którzy stworzyli Renesans polskiej literatury przedwojennej. Wspominając te czasy, Neufeldówna żałowała zawsze, że nie pisała pamiętników. Jakież nieoceniony byłby to przyczynek do charakterystyki wielu pisarzy!

W tym ruchu, już ściślej literackim, ś. p. Neufeldówna bierze udział pośredni, tłumacząc doskonałą polszczyzną pierwszorzędną utwory z języków obcych. Sto dwadzieścia tomów, przełożonych z oryginałów niemieckich, francuskich, włoskich i angielskich, toż to prawdziwa „biblioteka“ Neufeldówny, rozproszona dziś po czytelnich i domach prywatnych, w nakładach dawno wyczerpanych... Ona pierwsza dała rodakom swoim poznać Kiplinga, Multatuliego, Conan Doyle'a; „Cezara i Kleopatry“ Shaw, „Ingeborgę“ Kellermana, Karin Michaelis i innych znakomych autorów obcych.

Ona pierwsza zainteresowała się u nas instytucją Pen-Clubu, nawiązała stosunki z twórczynią i założycielką angielskiego Klubu Literackiego p. Dawson-Scott i, zebrawszy potrzebne informacje, przedstawi-



ś. p. Bronisława Neufeldówna w młodych latach.

ła je Żeromskiemu, który myśl tę podjął z właściwym sobie entuzjazmem i darem słowa i w czyn wprowadził.

Sterana długoletnią pracą, ale zawsze pogodna, kochająca ludzkość i ludziom życzliwa, w 1928 r. otrzymała t. zw. „stałe zaopatrzenie z funduszków państwowych za zasługi w ciągu półwiecza pracy kulturalnej w dziedzinie dziennikarstwa“, a w r. 1929 została odznaczona krzyżem oficerskim orderu Polonia Restituta.

To zaszczytne odznaczenie, jak również przyjaźń i uznanie kolegów, którzy dwukrotnie obchodzili jubileusz jej pracy, były dla niej osłodą w ostatnich latach jej życia, kiedy pióro wypadło z osłabłej ręki, a duch rwał się jeszcze do umiłowanej pracy.

Dopóki mogła, trwała, jak żołnierz na posterunku, wierna zasadom i ideałom swoich niezapomnianych mistrzów. Umarła, jako współpracowniczka „Gazety Polskiej“, tej „Gazety“, której imię wiązało się dla niej ze wspomnieniami własnej „górnej“ młodości i czasów „chmurnych“ dla Ojczyzny.

Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadziło ją tłumnie młode pokolenie dziennikarzy, dziennikarek i publicystów, którzy z poufałą czcią nazywali ją „Ciocią Brońcią“, oraz nieliczna garstka jej rówieśników, którzy pamiętali ją, jako młodziutką „pannę Bronkę“.

Została po niej świetlana smuga pamięci, niezamąconej żadnym cieniem, niezakłóconej najlżejszym zgrzytem. Jej długi i pracowity żywot był pogodną melodią bez dysonansów. *Stefanja Podhorska-Okółów.*







Wojciech Weiss: „Dziecko, koza i pies“.

## Z WYSTAW

W Zachęcie akty kobiece, martwe natury z kwiatów i owoców — realizm korygowany odrębnymi relacjami światła. Niby wszystko to samo, co zawsze, na przeciętnej wystawie. A naprawdę — inny stosunek. Inny wymiar.

Sztuka *Wojciecha Weissa* jest sztuką współczesną, jakkolwiek w swym widzeniu świata i w gatunku wyobrażenia tego świata na płótnie — od współczesności, od „modernizmu“ nieco odbiega.

Weiss patrzy przede wszystkim na powierzchnię rzeczy, chwytając spojrzeniem naskórek — nie analizuje, nie rozkłada na nawarstwienia, ani też nie sięga do „najgłębszego rdzenia rzeczywistości“, co cechuje poszczególne kierunki najmłodszego malarstwa. Weiss wciąż jeszcze właściwie zachowuje ów stosunek biernego — oczywiście względnie — obserwatora zjawisk, wciągającego wszystko w swój rejestr bez komentarzy — stosunek charakterystyczny dla okresu impresjonistycznego, czy bezpośrednio post-impresjonistycznego.



Wojciech Weiss: „Zaczytana“.

Ale już inne zupełnie jest jego poczucie farby, środków malarskich; inny jest gatunek samej transpozycji widzialności zewnętrznej w wymiar obrazu. Różano-perłowa, krwistą podskórną czerwienią przesycona barwa ciała kobiecego ma w jego obrazach jakiś swoisty, z niczem niewspółmierny walor — walor, mający swe źródło nie w obiektywnie istniejącej rzeczywistości i szczęśliwem jej skopjowaniu, lecz będący atrybutem samej farby, jej autonomicznych właściwości. Farba Weissa, jego faktura żyją własnem życiem, narzucają swoje własne prawa i kanony krągłej piersi, miękkiej jedwabnej sukni, czy płatkom kwiatu, który ma wykwitnąć na obrazie.

Ta pierś, ten kwiat, wyzute początkowo ze swej konkretności, zdematerializowane poto, by mogły być wogóle przeniesione w nierealny świat dwuwymiarowy — nabierają nowych, nieznanych rumieńców, krasy kolorów, spływających z pędzla, pęcznieją miąższem tłustej, gorącej faktury.

Najpiękniejsze bo-



daj na wystawie — to akt młodej dziewczyny na pasiastem tle — kobieta w żółtem dessous, czytająca — szaro-niebieski wazon z polnemi kwiatami.

Jednocześnie wystawia w Zachęcie projekty dekoracyj i kostjumów teatralnych *Stanisław Sliwiński*. Przeważnie są to szkice kreacyj już zrealizowanych, które mieliśmy sposobność oglądać w teatrach szyflmanowskich.

Sliwiński, interesując się mniej linią konstruktywną utworu scenicznego i jej rozbudową dynamiczną, stara się raczej o podkreślenie charakterem dekoracji zasadniczej „treści najgłębszej“ sztuki, o wydobycie ekspresji. Stylizacja kostjumów jest naogół dość przypadkowa. Najciekawsze są dekoracje do „Człowieka i nadczołowieka“ Shawa.

W mniejszych salonach warszawskich odbyło się ostatnio parę interesujących wystaw. Więc przede wszystkim w Żyd. Tow. Sztuk Pięknych przy ul. Królewskiej wystawiał prace swoje Menkes, jeden z najciekawszych dziś artystów polskich, mieszkających w Paryżu.

Menkes — to rasowy kolorysta, ulegający może cokolwiek za mocno wpływowi francuskiemu (Rouault), zwłaszcza jeżeli chodzi o stylizację postaci, trącającą pewnym manieryzmem. Ale chwilami zdobywa się Menkes na głęboką ekspresję, egzotyczną, niepokojącą, która w połączeniu z owym, drapieżnym niemal, wyczuciem barwy otwiera niezwykle możliwości.

W salonie Garlińskiego wspólną wystawę urządzili *Stanisław Zaleski* i *Ena Łunkiewiczowa*. Zaleski, malarz młodszej generacji, który zaczynał z „Formistami“, pogłębił ostatnio ogromnie zarówno swój stosunek do konstrukcji obrazu, jak swoje środki techniczne. Jego martwe natury — zwłaszcza jedna z żół-



Ena Łunkiewiczowa: „Wisła pod Kazimierzem“.

tym tulipanem i druga z kłoszem owoców i papierosami — tworząc zamknięte, doskonale skomponowane i związane barwnie całości, są jednocześnie rozwiązywaniem pewnych problemów zasadniczych, pożądanym doszukiwaniem się treści w zawiłym, a tak dla malarza nęcącym, świetle form.

Surowa, możnaby rzec, w swem konsekwentnym, rygorystycznym niemal rozwijaniu raz przyjętej zasady, sztuka p. Łunkiewiczowej mniej może przekonywać widza logiką purystycznych założeń, ile raczej podbija wrodzonym smakiem i wdziękiem zestawień. Artystka parceluje sobie rzeczywistość w obrazie według kanonów swej wiary, ale cały sekret zdaje się polegać na tem, że ma poprostu — niezależnie od tychże kanonów — doskonałe wyczucie kompozycji, miarę przestrzeni, *volumenu* bryły...

Najbardziej interesująca zdaje się być martwa natura z owocami, w szarawym kolorycie — pełna kultury i o dużych walorach dekoracyjnych. Z pośród rysunków kolorowych budzi uwagę „Ancecy“ o ciekawej fakturze.

Obecnie wystawia u Garlińskiego p. *Nowotnowa*. Po większej części kwiaty, malowane akwarelą, w charakterze przeważnie impresjonistyczne; kilka olejnych studjów portretowych o pewnych reminiscencjach klasycystycznych, wreszcie drzeworyty, tematycznie oparte na pejzażu polskim, dość wyrobione w technice.

l. j.



Janina Nowotnowa: „Okno“.



## LEPSZY PEŁNY SKARB, NIŻ POPULARNOŚĆ

Ogólne bezrobocie jest dziś klęską całego cywilizowanego świata; dość powiedzieć, że dotknęło ono Amerykę, która była dotychczas uważana za kraj zlotodajny, gdzie jeśli brak czego, to chyba rąk do pracy, ciągle wzrastającej. Dziś i tam stanęło wiele fabryk i zakładów przemysłowych, pozostawiając rzesze bezrobotnych. W Europie jest jeszcze gorzej. W samym Berlinie liczba poszukujących pracy przewyższa cyfrę bezrobotnych w całej Polsce. Najgorzej jednak z krajów europejskich stoi Anglja. Licząc z ostatnimi zakłamaniami w kopalniach węgla, Anglja posiada trzy i pół miliona bezrobotnych!

Zapomogi, wypłacane tej armji pozostających bez pracy, są prosto katastrofą budżetu państwa. Od szeregu miesięcy już rozlegają się w Parlamencie głosy ostrzegawcze, które od paru tygodni przeszły w groźnie alarmujące: skarb nie wytrzyma tego wydatku dłużej, niż parę miesięcy, a potem co?

Obmyślano różne sposoby; między innymi dawano bezrobotnym korzystne warunki nabycia ziemi w kolonjach, ale, dziwna rzecz, tak chętni zwykle do emigracji dobrowolnej, do szukania przygód i przebywania w dalekich, egzotycznych krajach Anglicy teraz nie chcą emigrować, ci właśnie bezrobotni nie chcą! Trudno, przymuszać nikogo nie można. Skarb płaci więc zasiłki, które w dodatku są dosyć wysokie i, zwłaszcza dla bezdzietnych, nieźle wystarczają na utrzymanie.

Tem też zapewne wyjaśnić trzeba inny objaw, chyba jeszcze dziwniejszy; bo, że ludzie nie mają chęci jechać „na koniec świata“, łatwiej zrozumieć; ale żeby wogóle odrzucali pracę, przekładając nad nią bezrobocie, to już skandal. W dodatku przyczyną jego stały się kobiety. Kobiet bezrobotnych jest, naturalnie, w Anglji duża ilość, przeważnie pracownic fabrycznych. Tymczasem istnieje zawód, w którym stale brak kandydatek: to służba domowa.

Popyt ten jest dlatego duży, że Angielki, zajęte i pracą zawodową i sportami, niezbyt lubią gospodarstwo i chętnie wyręczają się służbą. Z drugiej strony zawód służącej nie jest ciężki, wobec udoskonalen technicznych, powszechnej elektryfikacji i dostawy do domów wszystkich prawie produktów, pensje zaś są względnie wysokie. Nic nie pomoże: robotnica fabryczna woli czekać zmiłowania losu, niż zostać służącą, nawet w zamożnym domu, gdzie ma zapewniony pokój osobny i różne wygody, przy lekkiej pracy.

Urzędy bezrobocia zajmowały w stosunku do tych kandydatek stanowisko wyczekująco-względne: nie chcą — no, to trudno. Nagle jednak zaszedł energiczny sprzeciw: jakto, skarb ledwie dyszy, a te panie powiadają: płać, bo my nie pójdziemy do służby! Co to, to nie! I całej grupie dziewcząt z Blackpool, w okręgu Lancashire, cofnięto zapomogi. Z czyjego rozporządzenia? Miss Bonfield, ministra pracy.

Naturalnie, podniosły się głosy oburzenia. Toż to zamach na wolność osobistą! Minister rządu Partji Pracy ucieka się do metod faszystów! Nie wolno stosować takiego przymusu! i tak dalej. Życzliwi ostrzegali Miss Bonfield, że utraci popularność. Nic to jednak nie pomogło. „Wolę równowagę budżetu, niż moją popularność“, oświadczyła panna Bonfield i utrzymała swoje rozporządzenie.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że poziom oświaty i wyrobienia w życiu publicznym jest jednak w Anglji dosyć wysoki, to musimy dziwić się temu brakowi poczucia obowiązku obywatelskiego wśród mas, które doskonale wiedzą i chyba naogół rozumieją, jak groźna jest sytuacja finansowa kraju w tej chwili. Śmiała decyzja pani Bonfield położy bezwzględnie kres pasożytnictwu na funduszach państwowych.

W prasie kobiecej francuskiej odezwały się już liczne głosy, komentujące wystąpienie angielskiego ministra pracy i tłumaczące stanowisko robotnic angielskich. Działaczki francuskie krytykują Miss Bonfield, gdyż obawiają się, że to rozporządzenie zaszkodzi równouprawnieniu ekonomicznemu, stawiając znów pracę domową, jako najodpowiedniejszą dla kobiet. Obawy te zrozumiałe są u Francuzek, które, nie mając dotychczas równouprawnienia politycznego, odsuwane ciągle na najdalszy plan w urzędach państwowych, a do wielu wogóle niedopuszczane, muszą walczyć o każdy, najdrobniejszy odcinek pracy. W krajach jednak, gdzie, jak w Anglji, sytuacja jest zupełnie inna, obawy te są zbyt czyste.

Wątpię też, aby te dziewczęta, które nie chcą pracować jako służące, kierowały się względami równouprawnienia. Prosto wolą pracować w fabryce, a w braku zajęcia, pobierać zapomogi. Sprawa przedstawiałaby się źle dopiero wówczas, gdyby mężczyznom dano pierwszeństwo do innych posad, a kobiety zmuszono, wbrew ich woli i uzdolnieniu, do pracy domowej. Dotychczas jednak takiego faktu nie było.

Miss Bonfield odmówiła tylko zapomogi tym, które, nie mając żadnego innego zajęcia, tak samo jak i mężczyźni, miały jednak tę korzyść, że jakąkolwiek pracę dostać mogły, a nie chciały się na nią zgodzić.

Podobne rozporządzenie obejmie zresztą pewno przy pierwszej okazji i mężczyzn, gdyż i oni nie chcą brać często zdarzających się zajęć lokai, stangretów i różnych innych „pomocników domowych“. Ta idiosynkrazja do służby jest w Anglji powszechna. Lepiej byłoby chyba, aby, tak, jak to się często zdarza w Ameryce, zawód ten objęli kandydaci ze sfer inteligencji. Jedna i druga strona nicby na tem nie straciła.

N. J.

## Z ŻYCIA EKРАНU

(Między X a XI Muzy)

Filmy dźwiękowe, które oglądamy już od 1½ roku — to przeważnie jeszcze twory przejściowe: nie są to już „klasyczne“ dzieła X Muzy, ale też trudno uważać je za coś więcej, niż za ledwie zapowiedź tej „nowej sztuki“, która powstanie prawdopodobnie z połączenia obrazu z dźwiękiem. Narazie utarły się pewne typy filmów dźwiękowych, opracowywane z większym lub mniejszym talentem, typy, cieszące się uznaniem publiczności lub wywołujące nudy, stanowiące jednak, w sumie, pewien okres przejściowy, który może trwać jeszcze dość długo. Albowiem produkować trzeba, trzeba zapychać czemś setki tysięcy kin, wołających wciąż o nową strawę, a tymczasem za kulisami tej produkcji panuje jeszcze ciągle chaos.

Powrót do filmu niemego, czy film perspektywiczny, czy kolorowy, czy na zwiększonym ekranie? — oto pytania, na które nikt nie dał jeszcze zdecydowanej odpowiedzi, oczekiwanej z równą niecierpliwością przez producentów, jak przez publiczność.





Scena z filmu: „Droga do raj”.

Szalone skoki techniki, następujące po sobie w zawrotnym tempie, nie dopuszczają do głosu artysty, nie dają mu czasu na rozpatrzenie się w tych nowych zdobyczach, na rozsegregowanie ich i przetopienie w dzieło sztuki. Dlatego XI Muza przychodzi na świat z takim trudem.

Dzisiejszy film dźwiękowy — to albo film niemy z synchronizowaną ilustracją muzyczną, okraszony „numerem” śpiewanym i, ewentualnie, odgłosami, jak naprz. bicie zegara, pukanie do drzwi, tętent kopyt i t. d. (takie są dźwiękowce polskie); albo — film całkowicie mówiony (w obcym języku), upstrzony napisami, niby słup ogłoszeniowy, albo też — film, w którym pierwiastki teatralne i kinowe połączone są względnie szczęśliwie (jak w filmach reż. Lubitscha „Parada miłości” i „Monte Carlo”). We wszystkich tych filmach dźwięk jest albo dodatkiem, występującym równolegle, albo „wzmocniaczem” akustycznym wrażeń optycznych (pozwalającym słyszeć to, co się widzi, jak właśnie owo pukanie, czy turkot kół), ale nie jest samodzielnym pierwiastkiem twórczym.

Pierwszą próbą twórczego zastosowania dźwięku był film reż. Dupont’a „Atlantic”, o którym pisaliśmy w swoim czasie. Próba ta została zastosowana po raz drugi w sposób pełniejszy przez René Clair’a, reżysera francuskiego z grupy awangardystów, w filmie p. t. „Pod dachami Paryża”. Tu już mamy nie tylko krzyżowanie wrażeń słuchowych z optycznymi — a więc próbę traktowania dźwięku, jako samodzielnego środka ekspresji — ale i oryginalną koncepcję całego filmu, który rodzi się z dźwięku (osią jest uliczna piosenka), a przytem nie przestaje ani na chwilę być potwierdzeniem istoty kina — ruchem, wizją.

Uliczna piosenka nie jest tu „numerem muzycznym” — jest duszą filmu, jego bohaterką. Widzimy, jak się rodzi, jak „idzie między ludzi”, jakie przynosi im radości i kłębki; jak lekką stopą przebiega paryskie zaułki, wdziera się na poddasze, wpada do podmiejskich sal tanecznych; czasem potrafi po drodze czyjeś sentymentalne serce i znów biegnie dalej, krętą, wąską uliczką...

Po długiej nieobecności znów pojawił się na ekranie ruch, martwe przedmioty nabrały wyrazu, powiało poezją i jakimś nieprzpartym urokiem prawdziwej nadsekwańskiej atmosfery.

Jakże ta prosta historyjka o paryskich złodziejaskach jest różna od dramatów amerykańskich „ludzi podziemi”! Tam waży się wielkie sprawy o grube dolary, działa potężna organizacja, wchodzi w grę wielkie namiętności, stawka idzie o życie. Tu — codzienna krzątanina biedoty, drobne kieszonkowe kradzieże, nikłe, nieśmiałe uczucia, prędko zdeptane, jak kwiat, który wyrósł gdzieś na środku drogi; trochę bólu, łzawo-łobu-

zerski uśmiech i — życie znów płynie swoim trybem, „ani takie złe, ani takie dobre, jak się wydaje”.

Reżyser starał się najwidoczniej, ażeby wykonawcy nie byli tutaj tymi, którzy przedewszystkiem przyciągają i skupiają na sobie uwagę widza. Gra ich wszystkich — od największej do najmniejszej roli — jest rozmyślnie stuszowana, są poprostu tylko częścią tego paryskiego zaułka, wpleceni w jego życie, szarzy i nikli, jak ono samo. Nawet w powierzchowności ich niema nic z „gwiazdorstwa”; wyrzekają się go, „wsiaakają” niejako w tło i w ten sposób osiągają najwyższy sukces artystyczny.

„Pod dachami Paryża” — to nie tylko najpiękniejszy film ostatniego sezonu: to zapowiedź tej, tak oczekiwanej, „nowej sztuki”.

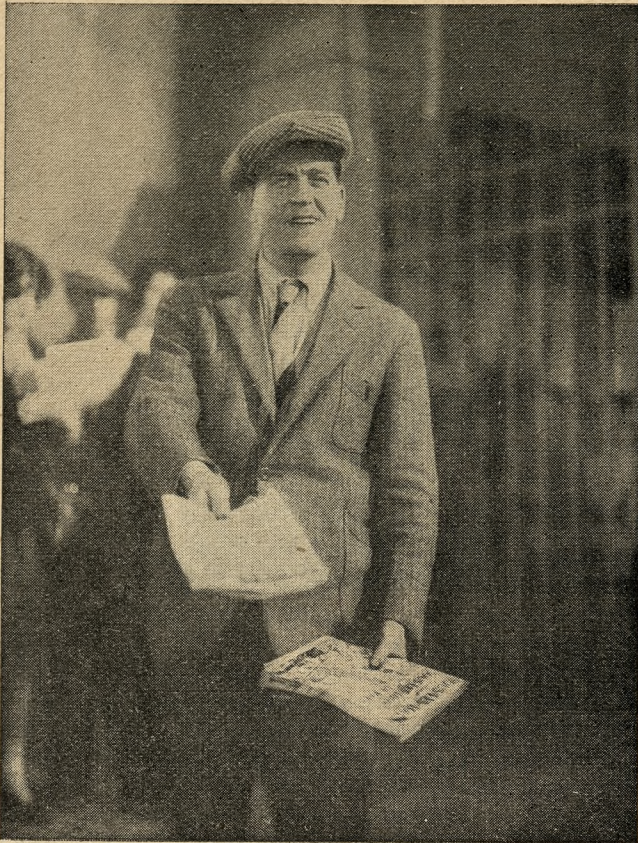
René Clair umie wyzyskiwać dla pożądanego efektu nie tylko dźwięk, lecz również — ciszę. Scena, gdy nagle przestaje się słyszeć dialog, bo mówiący zostają za zamkniętymi drzwiami, albo scena bójki przy przejeździe kolejowym (co innego słyszeć, co innego się widzi), albo rozmowa w ciemnościach w pokoju Alberta — wszystko to już jest świadome dążenie do kompozycji ruchowo-dźwiękowej. Dlatego film René Clair’a zapamiętamy na długo.

Z amerykańskich reżyserów, dążących do wyłamania się z dźwiękowego szablonu, należy wymienić „wielkiego kaznodzieję ekranu” — Cecil B. de Mille’a. Nie wyrzekając się swej zasady tworzenia filmów o moralnej tezie oraz pamiętając zawsze o potężnych efektach wzrokowych, de Mille w swym pierwszym dźwiękowcu („Dynamit”) od razu natrafił na właściwy materiał, z którego dało się wydobyć nową kategorię wrażeń optyczno-akustycznych. Scena wybuchu w kopalni jest majstersztykiem techniki i odznacza się istotnie wielką siłą dramatyczną.

Ciekawą próbą stworzenia operetki filmowej, nie mającej nic wspólnego z naśladownictwem teatru, jest „Droga do raj” niemieckiego reż. H. Schwarza (film, wykonany w wersjach niemieckiej i francuskiej). Temat błahy, prawdziwie operetkowy, nie ma jednak ani przez chwilę pretensji do, tak częstego w operetkach, sentymentalnego patosu. Jeżeli bohaterowie śpiewają w tych miejscach, gdzie zwykli śmiertelnicy zazwyczaj mówią, to nie chcą nam przez to wmówić, że tak właśnie postępują wszyscy zakochani księżęta Kurytanji i księżniczki-czardaszki, lecz robią to dlatego, że z pełną świadomością wyrzekają się naturalizmu i nie wstydzą się tego. Wszystko i wszyscy zachowują się tu groteskowo, mając na uwadze przedewszystkiem ruch i rytm.

Dlatego też motywem przewodnim filmu może być nie





Scena z filmu: „Pod dachami Paryża”.  
wł. D. h. Zagrodzki.

zaden „przebój”, lecz sygnał trąbki samochodowej; tragarze mogą pracować w tanecznym rytmie; maszyny do pisania mogą wystukiwać swą piosenkę; meble, zajęte przez komornika, mogą wyfruwać przez okno i wfruwać do wozu meblowego; wreszcie — śpiew i taniec nie szukają sztucznego usprawiedliwienia i nie naginają się do żadnego realnego sensu. Jednakże ten cały miły bezsens oparty jest na mocnych prawach harmonji i rytmu ruchowego i muzycznego i w tem właśnie leży jego zasługa.

Trzy omówione tu filmy świadczą, że pierwszy etap drogi do XI Muzy już jest po za nami; zaczynamy etap drugi. Oczywiście i o ile... znów się nie cofniemy.

Stef. H.

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

### W PERSJI JEST ZWIĄZEK PAŃ DOMU.

Mniej szybko i nagle, niż turczynki, stale jednak wyzwala się z długoletniego ucisku i kobiety perskie.

Historja ruchu kobiecego w Persji, aczkolwiek nie dawna, ma już na swych kartach wiele ofiar, znacznie tragiczniejszych, niż w innych krajach. Najgorszy los przypadł młodej działaczce Tareh, która na parę lat przed wojną pierwsza ośmieliła się głośno zaprotestować przeciw niewoli kobiet, otoczonej murem przesądów i zabobonów religijnych Islamu. Pani Tareh została okrutnie zamordowana, uduszona przez fanatycznych czcicieli starego porządku. Jednak echa jej działalności nie dały się już stłumić, kobiety perskie ożyły.

Przyszła potem era konstytucyjna, w r. 1915 otwarto pierwsze szkoły żeńskie i, o dziwo! założono Związek Pań Domu! Istnieje on do dziś i rozwija się doskonale. Obejmuje nawet szerszy zakres, niż europejskie związki pań domu, gdyż nietyl-

ko sprawy gospodarcze, ale polityczne i społeczne. Ciężko to jeszcze szło z początku; dosyć powiedzieć, że gdy założycielki Związku chciały na jego cele urządzić prywatne przedstawienie amatorskie, o mało nie zdemolowano domu, w którym się ono miało odbyć, fanatycy religijni nie uznają bowiem takich „skandali”. Z czasem jednak udało się przewyciężyć przeszkody.

Niemalą podporą równouprawnienia w Persji jest osoba monarchy; szach Reza jest zdecydowanym zwolennikiem postępu i umie skłonić do niego naród. Za władcą idzie naturalnie, szereg wysokich urzędników i wpływowych obywateli. To też obecnie kobiety chodzą już po ulicach bez zasłon, mogą ukazywać się w towarzystwie mężczyzn, bywać w teatrze i na zebra- niach publicznych.

Podczas dyskusji o szkolnictwie w parlamencie sensację wywołał głos duchownego muzułmańskiego, dowodzący, że Persja nie wejdzie do rodziny krajów cywilizowanych, dopóki kobiety, żony i matki, nie będą wykształcone tak samo, jak mężczyźni. Obecnie wszędzie już są szkoły powszechne dla dziewcząt, i szkoły średnie z tym samym programem, co męskie.

Związek pań domu zaś prowadzi nieustanną i owocną działalność, stawiając jako zadania naczelné: propagandę wykształcenia wśród kobiet, zachęcanie ich do pracy zawodowej, zniesienie poligamji i małżeństw dzieci, oraz reformę prawa „ozwodowego w myśl wymagań współczesnych.

### NASZE RODACZKI ZA OCEANEM.

Jako echo uroczystości ku czci Pułaskiego w Ameryce, postanowiono wydać serję znaczków pocztowych z podobizną polskiego bohatera. Znaczków tych (dwucentowych) puszczone w obieg 100 milionów. Dla nadania tej serji specjalnie uroczystego charakteru, zorganizowano w pałacu Federalnym ich sprzedaż publiczną. Otwarcia sprzedaży dokonał minister poczt C. Lueder w obecności licznych polaków, między innymi znanej działaczki polskiej w Ameryce, pani Emilji Napieralskiej, która wraz z siostrą swą, Franciszką, wzięła żywy udział w organizacji sprzedaży.

### ZŁOTE ORLICE.

Związek harcerek amerykańskich spotkał wysoki zaszczyt: sześć najwybitniejszych druzhen otrzymało order Złotego Orła, najwyższą odznakę, jaką może dostać harcerz w Ameryce. Dekoracji dokonał admirał Byrd.



Odnaczone.





P. Rachel Crowdy.

### KTO ZAJMIE JEJ MIEJSCE?

Znana angielska działaczka społeczna pani Rachel Crowdy była od powstania Ligi Narodów przewodniczącą sekcji spraw społecznych i walki ze szmuglem narkotyków. Obecnie pani Crowdy, po 11 latach pracy, ustąpiła z zajmowanego stanowiska.

### ŚMIERĆ PIERWSZEJ POSŁANKI.

Posłanki angielskie włożą załobę po pierwszej koleżance, zmarłej na stanowisku. Jest to dr. Ethel Bentham, członkini Partji Pracy. Pani Bentham była też jedną z pierwszych w Anglii kobiet-lekarek i jedną z pierwszych kobiet-posłanek. Całe życie poświęciła gorliwej pracy, przeważnie bezinteresownym poradom lekarskim w ubogich dzielnicach Londynu. Pomimo to nie zaniedbywała działalności społecznej, biorąc czynny udział w swem stronnictwie i w organizacjach kobiecych.

### DYREKTORKA POCZTY.

Pani Server Ali Hanum została mianowana główną dyrektorką poczty w Konstantynopolu; jest to pierwsza tureczka na tak wysokim stanowisku rządowym.

### Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

W Hiszpanji o mało nie upadła monarchja.

Po stłumionym niedawno buncie wojskowym, wrzenie w kraju nie ustało. W dodatku, wbrew dotychczasowym obyczajom, podług których sprawcy tego rodzaju zamieszek byli karani względnie łagodnie, zastosowano represje bardzo ostre.

Główny wódz rewolucji, major Franco, uciekł wprawdzie, ale kary dotknęły innych. Wszystko to w połączeniu z rządem gen. Berenguera, który nie umiał dać sobie rady z położeniem wewnętrznym kraju, powodowało ciągły ferment, który przybrał już tak groźne rozmiary, że w przeciągu paru dni była mowa o abdykacji króla Alfonsa, na rzecz bratanka don Carlosa.

Pomimo tego mylili się, ktoby myślał, że Hiszpanja jest krajem o wybitnie antymonarchistycznych tendencjach. Stronictwo republikańskie jest tam wprawdzie silne, ale gdyby król Alfons potrafił zdobyć osobistą popularność, niktby nie miał nic przeciwko monarchji takiej, jaka istnieje np. w Anglii, lub w krajach skandynawskich. Ale dynastja burbońska zachowała trochę już zawiele niezdrowej średniowieczyny, a król sam nie odznacza się wybitną inteligencją i umiejętnością polityczną. Przytem przeciwnicy monarchji wysuwają ważki argument, że potomstwo króla jest tak słabego zdrowia, iż nie rokuje żadnej nadziei ciągłości dynastji.

Przy tem wszystkim możnaby było jeszcze utrzymać spokój, zapomocą rządów parlamentarnych, ale w Hiszpanji od ośmiu lat parlamentu niema. Król Alfons obawia się, że zwołanie go przyniosłoby klęskę stronnictwu monarchistycznemu. W ostatnich groźnych dniach zwrócił się jednak monarcha do wszystkich przedstawicieli opozycji, proponując im objęcie rządów. Wszyscy pokolei odmówili! Wobec tego przerzucono się w drugą ostateczność: admirał Aznar utworzył rząd koncentracji sił monarchistycznych.

O ile ten nowy rząd wykaże istotne zdolności rządzenia, zwoła parlament i uzyska w nim większość, będzie mógł, naturalnie, zapewnić spokój wewnętrzny i dalsze istnienie monarchji. Sama zapowiedź zwołania Kortezów stanowi już pewną rękojmię, że obecni ministrowie zdają sobie jednak sprawę z powagi chwili i chcą dążyć do realnego, na podstawie wskaźników doby współczesnej, opanowania trudnej sytuacji.

Komitet dziesięciolecia zwycięskiego odparcia najazdu Rosji sowieckiej powziął decyzję przedłużenia swej akcji do dnia najbliższych Imienin Zwycięskiego Wodza Naczelnego, t. j. do dnia 19 marca 1931 r. i podaje do wiadomości, że w tym roku dzień imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego będzie upamiętniony szeroką akcją odsłonięcia ufundowanych tablic dla poległych oraz tablic z podobizną i życiorysem Wodza Narodu, wyrytym w 108 wyrazach.

Tekst życiorysu Marszałka Piłsudskiego opracował znany pisarz Wacław Sieroszewski, płaskorzeźba podobizny Marszałka i wyrycie tekstu życiorysu są dziełem artysty-rzeźbiarza Józefa Anmillerera, same zaś tablice śpizowe są wykonane w Mennicy Państwowej.

Aby dać możność każdej jednostce wzięcia udziału w tej akcji, Komitet będzie patronował wydanie fotografii tej tablicy oraz fotografii medalu pamiątkowego w formie pocztówek i nalepek. Kompletu pocztówek i nalepek składają się każdy z 200 lub 220 sztuk bądź samych pocztówek, bądź samych nalepek, bądź też częściowo z pocztówek i częściowo z nalepek, stosownie do życzenia zamawiających, a to w tym celu, aby w okresie imienninowym korespondowano na tych kartach pocztowych, a nalepkami ozdabiano okna i wystawy sklepowe, dając tem wyraz hołdu dla Wodza Narodu.

W przewidywaniu, że Marszałek Piłsudski ma przez miesiąc marzec pozostać jeszcze na Maderze, Komitet apeluje do całego społeczeństwa polskiego, aby każdy, drobnym wydatkiem na wysłanie tej pocztówki do Marszałka Piłsudskiego z życzeniami imienninowemi, złożył hołd należny Budownicemu Polski Odrodzonej.

Karty pocztowe należy wysyłać od 1 do 10 marca, podając dokładnie swoje nazwisko i adres, według następującego adresu: Monsieur Le Maréchal de Pologne J. Piłsudski, Funchal—Madera.



# NASZA MÓWNIKA

## Ile wydaję.

Pani Wanda R. poruszyła bardzo ważną sprawę budżetu ludzi, którzy, pozornie, zdawałoby się, są dobrze sytuowani materialnie, a tymczasem trudniej im może związać koniec z końcem, niż innym, mającym wprawdzie o wiele skromniejsze dochody, ale zato łatwiejsze warunki życiowe.

Ponieważ Redakcja „Bluszczu“ zachęciła nas do podawania swoich konkretnych budżetów, przedstawiam więc mój, dla porównania.

Oboje z mężem pracujemy. Mąż mój zarabia 600 zł. miesięcznie, ja 400. Z racji zarówno stanowiska, jak i wszelkich względów rodzinnych i towarzyskich, musimy utrzymywać stosunki z ludźmi, bywać i przyjmować; wszystko na stopie bardzo skromnej, jednak na pewnym, koniecznym w naszym środowisku, poziomie.

Na życie wydajemy na trzy osoby (nas dwoje i służąca), 250 zł. miesięcznie. Pensja służącej 60 zł. (mamy wyjątkowo ucześciwą i gospodarną, jest u nas 8 lat!); opał, światło — 50 zł. Ubranie 150 zł. miesięcznie na nas dwoje (naturalnie raty, naturalnie przerabiam każdą sukienkę po dwa i trzy razy, inaczej trzebaby... nie wiem już, ile!). Na „drobne“ (jeżeli one są drobne!) wydatki swoje liczę 60 zł. (dwa złote dziennie): tramwaje, korespondencja, papier i znaczki pocztowe, mydło i przybory toaletowe, drobiazgi do szycia, czasem filiżanka czarnej kawy w cukierni; mąż mój wydaje na to samo 3 zł. dziennie, bo dochodzi koszt papierosów, razem 135 zł.

Rozrywki 50 zł. Ale jakie: prenumerata dwóch pism, książka z czytelnicy, dwa razy na miesiąc teatr, tyleż kino; ale należy zaznaczyć, że i jedno i drugie mamy po cenach zniżonych. Obowiązki towarzyskie 100 zł. miesięcznie; w tem mieszczą się następujące pozycje: raz na miesiąc przyjęcie kilkunastu osób, bardzo skromne: tartinki, herbata, ciasteczka, czarna kawa; prezenty imienninowe, które ofiarowujemy sobie wzajemnie i paru osobom z najbliższej rodziny; parę razy w karnawale bytność na zabawach publicznych (bilety, auta, fryzjer etc.); czasem obowiązkowa bytność na jakimś koncercie, podwieczorku, wzięcie biletu na jakąś loterię.

No i mieszkanie 100 zł. Wbrew porządkowi, postawiłam tę pozycję na końcu, gdyż jest ona pointę moich wyliczeń. Tak, tylko dzięki temu możemy wybrnąć, że mamy lokal w domu, objętym przedwojennym komornem. Dwa duże pokoje, kuchnia, alkowa, słoneczne i miłe, za 100 zł. miesięcznie. Ma ono jedną szaloną wadę: brak łazienki; zainstalowana na własny koszt wanna w kuchni łazienki nie zastąpi. Rozkład, kształt pokoi nie jest też, naturalnie, nowoczesny i nieraz czuję coś nakształt zazdrości, będąc u znajomych, w ślicznych, nowych mieszkaniach na kolonjach podmiejskich, ale niema rady. Te 150 zł. miesięcznie mniej, to cały ratunek, bez nich nie wybrnęlibyśmy. W ten sposób zaś wydatki nasze wynoszą 895 zł. miesięcznie, powiedzmy 900 zł. Pozostaje więc jeszcze (jakaż jestem dumna!) 100 zł. oszczędności.

Teoretycznie, te 1200 zł. rocznie powinny zostać na wyjazd, na odpoczynek, tembardziej, że nigdy prawie nie złoży się tak, abyśmy oboje z mężem korzystali równocześnie z urlopu, a każdemu oddzielnie zawsze więcej potrzeba. Naprawdę jednak nigdy tyle na lato wydać nie można. Zawsze z tego funduszu coś trzeba uszczknąć na jakiś niespodziany wydatek, a wyjazd wykombinować taniej.

Ale tak, jak jest, dajemy sobie radę, jednak zaznaczam; głównie dzięki tanioci lokalu; przytem, jest nas dwoje, a gdybyśmy mieli dzieci?

Pani Wanda R. zapytuje, co zrobić: czy zmniejszyć stopę życiową, czy zwiększyć zarobki? Pani Wojciechowska twierdzi, że sukienka balowa może służyć na cały karnawał (przepraszam,

mnie starcza na dwa), pomimo tego kosztuje! O zwiększeniu zarobków w dzisiejszych warunkach mówić trudno. Zmniejszyć stopę życiową można, ale w jeden tylko określony sposób. Jeżeli idę na bal, nie mogę włożyć biurowej sukni, mogę jedynie na bal nie pójść; tak samo, jeśli zaproszę znajomych, u których bywam, nie mogę podać herbaty i chleba z masłem, mogę znów tylko nie zaprosić ich i do nich nie pójść.

Przyznaję, że dla mnie jest to jedyne rozwiązanie sprawy. Bezwarunkowo, że ludzie nie mogą, jak pisze p. Wojciechowska, spacerować tylko po parku przy księżycu, muszą zakładać rodziny. Chodzi tylko o to, aby od razu zdali sobie dokładnie sprawę, ze swoich możliwości finansowych i utwierdzili się w tem, że o ile nie rozporządzają owym 1000 zł. miesięcznie, zwłaszcza w stolicy i większych miastach, muszą wyrzec się życia towarzyskiego i rozrywek. To „zdanie sobie sprawy“ jest, zapewne, niezbyt wesołe, ale jest ono konieczne. W przeciwnym razie zawsze będzie szarpanina nerwów, wzajemne pretensje, żale, wymówki i w rezultacie rozbita równowaga duchowa i pogoda życia, która przecież nie od zabaw zależy.

K. W. — Warszawa.

## A jednak to musi starczyć.

*Kochany Mój „Bluszczu“.*

Po przeczytaniu w „Naszej Mównicy“ artykułu p. Wandy R., westchnęłam głęboko, w oku zakręciła mi się „leżka“ jedna i druga... i tak serdecznie chciałam zawołać: „O, Kochana Pani! gdybyś Ty znała mój budżet, budżet żony urzędnika wojskowego VIII st. s!.

Jednak wkońcu zabrakło mi odwagi, aby napisać do „Bluszczu“. Teraz jednak, przyszła zachęta i jakby upoważnienie, a zatem, niech za moje gadulstwo spadnie wina na Ciebie, Kochany „Bluszczu“, nie na mnie.

Więc, zaczynam. Mąż daje mi „na rękę“ 345 zł. Jest nas troje, t. j. ja, mąż i 9-letni synuś. Na życie odkładam 160 zł. Mamie męża posyłamy 30 zł., komorne 41 zł. (2 pokoje i kuchnia; uważam, że to bardzo tanio, światło elektryczne (3 lampki) i gaz (kuchenka) przeciętnie 12 zł.; papierosy męża, przeciętnie 20 zł.; szkoła („Rodziny Wojskowej“) mego synka, wraz z lekcjami poglądowymi języka francuskiego, 29 zł. Gazety: męża dziennik 5,70 zł., mój kochany „Bluszcz“ 3,75, synka „Piomy-czek 1,20 gr.; posługa (raz na tydzień) 12 zł.

Razem: 314 zł. 65 gr. — 345 zł. — 314.65 = 30 zł. 35 gr.

Pozostaje mi wkońcu przeciętnie 30 zł. i w tej sumie mieści się absolutnie „wszystko“ pozostałe; a o ile przychodzą miesiące, w których trzeba płacić raty za węgiel, lub wypada pranie, to budżet wychodzi na „0“, lub czasem nawet i z deficytem!

Teraz proszę zrozumieć i odczuć, jak trzeba kombinować i przemyśliwać, żeby jednak coś już bardzo koniecznego od czasu do czasu kupić (w pierwszym rzędzie dla synka buciki, a drze je setnie i ubranie). Najwięcej oszczędności robię na życiu (naturalnie naszym, nie synka). Teoretycznie odkładam na to każdego 1-go 160 zł., a w praktyce „wyciskam“ z tego, ile tylko zdołam, na owe konieczne życiowe potrzeby.

O teatrze, pomimo, że w Toruniu jest on bardzo tani, ani marzyć, o kinie również; wogóle o żadnej rozrywce, bo choćby się człowiek zdobył na zapłacenie wstępu, to przecież ani mąż, ani ja nie mamy odpowiedniego ubrania.

Nie piszę tego, broń Boże, w formie skargi, bo wiem, że dużo żon urzędników IX i X st. s! otrzymuje znacznie mniej i też żyć muszą.

Mojem słoneczkiem i skarbem jest synuś, a rozrywką i łącznikiem ze światem kochany „Bluszcz“; a jednak... jednak po przeczytaniu artykułu p. Wandy R., pomyślałam: jakie to życie mogłoby być przyjemne i lekkie, gdyby można mieć, już nie tysiąc, a 600 zł. mies. pensji.

Jana.



## NASZE WOLNE GODZINY

Jakże dalekie są czasy, kiedy gorliwa pani domu nieraz od świtu do późnej nocy nie znała wytchnienia, a układając do snu swe strudzone ciało, pocieszała się nadzieją, że przecież z prochów jej i tysięcy takich, jak ona, męczenniczek — powstaną kiedyś mścicielki.

I oto my jesteśmy temi, które żyją w wieku za-  
dośćuczynienia!

Zacząło się to z chwilą docenienia organizacji pracy, z chwilą, kiedy ta właśnie organizacja, wprowadzona w życie, upomniała się, siłą rzeczy, o szereg ułatwień i udogodnień zarówno technicznych, jak i budowlanych.

Stało się tak, jak dzieje się zwykle w dziedzinach, którym poświęca się dużo twórczości i dużo wysiłku. Zaczęło nietylko rozumieć, ale cenić i szanować pracę kobiety — pani domu; wyciągnięto do nas pojednawczą dłoń, podnosząc zapoznane „kurki domowe“ do godności pracownic zawodowych, które w swoich energicznych i pracowitych rękach dzierżą ster najwyższego dobra ludzkiego: domu rodzinnego.

Z kolei rzeczy i my zmieniliśmy całkowicie swoje do spraw domowych ustosunkowanie. To, co było doniedawna złem koniecznym, piętnem, jakie przynosiła ze sobą na świat kobieta, predestynowana z góry do roli „wysługiwania się“ rodzinie, staje się dzisiaj w pojęciu zarówno naszym, jak i naszego otoczenia, szczytnym posłannictwem, które spełniamy z dużą dozą pietyzmu.

Aby sprostać temu zadaniu, pani domu musi być skarbnicą źródłowych wiadomości z dziedzin najróżnorodniejszych.

Psychologja, estetyka, pedagogja, ekonomja, higjena, administracja, znajomość form towarzyskich, umiejętność ubrania się, zgłębienie tajników: sztuki kulinarnej, sprzątania, prania, reperacji, utrzymywania we wzorowym porządku garderoby i bielizny, konserwowania dobytku domowego, pielęgnowania kwiatów, a w gospodarstwie wiejskiem i wszystkich gałęzi gospodarstwa kobiecego dochodowego — oto pobieżna statystyka umiejętności, jakie musi wnieść w życie, jakie musi doskonalić bezustannie pani domu.

Jeżeli, mając za zadanie omówienie „wolnych chwil“ pani domu, wysuwam na pierwszy plan zobowiązanie jej rozciągniętych obowiązków i niezbędnych umiejętności, nie jest to bynajmniej dowodem braku logiki w ujęciu tematu. Przeciwnie, pragnę, aby panie zgodziły się ze mną w pojęciu, że wolna chwila wobec ogromu obowiązków i związanych z nimi odpowiedzialności — to skarb, którego roztrwonić nie wolno.

A do tych wolnych chwil nietylko mamy prawo, ale mamy obowiązek obejmowania ich programem, wcielenia w organizację życia; inaczej w kieracie ciągłych zatrudnień, ciągłego napięcia nerwów, sił, woli i pamięci, wyczerpałoby się życiodajne źródło podnie-  
ty, a z twórczych, kochających swój zawód pracowników, przekształciłibyśmy się wkrótce w bezduszne manekiny.

Wolne chwile pani domu są związane w nierozdzielalną całość z jej ustosunkowaniem się do życia domowego i do zawilej, wśród tylu obowiązków, kwestji praw osobistych, które musi nietylko docenić sama, ale nauczyć swoje najbliższe otoczenie uznawania ich i szanowania.

Suma wolnego czasu, który kobieta, stojąca

u steru domu, zużyje dla siebie, nie może być ujęta w żadne zgóry zakreślone ramy.

Na to, ile godzin dziennie, ile tygodni w roku poświęci swemu wypoczynkowi, składają się zarówno warunki rodzinne, jak i materialne, a w pierwszym rzędzie umiejętność zorganizowania życia domowego.

W każdym razie, nad uratowaniem z powodzi obowiązków, chwil, jakie może poświęcić wyłącznie sobie, żadnej kobiecie nie wolno przejść do porządku dziennego. Musimy bowiem pamiętać o tem, że dobrze zużytkowany wypoczynek — to źródło radości życia, to przypływ energii do dalszej pracy twórczej, to nie przygodny uśmiech losu, a prawo, zdobyte uczciwie i sumiennie wypełnionym obowiązkiem.

Omawiając organizację wolnych chwil, trzeba znów powrócić do organizacji pracy.

Umiejętne rozplanowanie zajęć — to chiński mur, który odgrodzi naszą wolną godzinę od niespodzianek, jakie mogłyby zakłócić jej spokój i ciszę.

W jaki sposób zużytkujemy te krótkie momenty zupełnego oderwania się od powszednich czynności, to już kwestja naszych osobistych upodobań.

Spacer, sporty, wizyty, roboty ręczne, książki, oddanie się pracy artystycznej, kompletny fizyczny wypoczynek, tak niezbędny dla organizmów wątłych, niezdolnych do sprawnego funkcjonowania przez długi szereg godzin bez przerwy — wszystko to będzie oderwaniem się od zgóry zakreślonego obowiązku, zmianą wrażeń, a przez to samo wytchnieniem.

Unikajmy jednak w sposobie spędzenia godzin, wyjętych z pod regulaminu, monotonnego szablonu. Starajmy się o to, aby każda wolna chwila przyniosła nam sumę wrażeń odświeżających, pobudzających wyobraźnię, a nadewszystko starajmy się zapewnić sobie pełny wypoczynek, zrywając z tak ogólną u kobiet, oddanych domowi, maksymą, że: „nic nie jest dokonane tam, gdzie pozostaje jeszcze coś do zrobienia“. Ten sposób ustosunkowania się do obowiązków jest nawszkroś wadliwy, zatrzuwa każdą minutę, poświęconą przyjemności, czy wypoczynkowi. Trzeba umieć wyzwolić wolną chwilę z pod terroru gospodarskich wyrzutów sumienia, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że *nie zagraża* ona porządkowi domowemu, jeżeli został ujęty w ramy racjonalne i planowe, że *zyskuje* on tylko na tem, gdy podporządkujemy się mu po upływie tych poświęconych samym sobie chwil z tem większym zapałem i oddaniem.

Na to, aby „nasza godzina“ nie straciła nic z pełni swej wartości i uroku, musimy przedewszystkiem nauczyć się chronić ją od reminiscencji.

Nie wolno, czytając, grając, malując, haftując, wychodząc na spacer, oddając się umiłowanemu sportowi, składając wizytę — słuchać bezustannie podświadomego poszeptu niewolniczych przyzwyczajęń, podsuwających nam myśl o tem, że należało jeszcze zrobić w domu to a to, wrócić coprędzej, aby nie kazać czekać na siebie ani minuty dzieciom, czy mężowi, który nadewszystko lubi „czuć naszą obecność“ nawet w chwilach, kiedy, odgrodzony pracą, która go pochłania, siedzi poza zamkniętymi drzwiami swego pokoju. Nie wolno też np., grając w bridge'a, który ma dar pochłaniania naszej uwagi, odrywania myśli od drobnych trosk i kłopotów, zatrzuwać sobie miłej rozrywki myślą o tem, że „nie biorący kart do rąk“ pan małżonek nie aprobejuje naszego postępowania, a w najbliższych chwilach da nam to odczuć, wysuwając bez logicznej przyczyny, ciężkie działo pretensyj i zarzutów, po które sięgnie do naj-



tajniejszych skrytek swej podrażnionej miłości własnej.

W obronie naszych wolnych chwil i godziwych rozrywek nauczymy się wypleniać z siebie dziedziczne obciążenie zbędnym samozaparciem, które gasi w zarodku uśmiech i pełnię radości życia.

Zamiast milcząco przepraszać za śmiertelny grzech posiadania upodobań i hołdowania im w sposób niekrzywdzący nikogo, nauczymy się organizować nasze wolne chwile i korzystać z nich z poczuciem pełnego prawa, którego przecież nikt nie może odmówić temu, kto spełnił uczciwie swój obowiązek.

Nasze wolne chwile muszą przeistoczyć się ze sztucznie hodowanych roślin cieplarnianych, które pozbawia uroku najłżejszy podmuch cudzego niezadowolonia, lub cudzych wymagań, w bujny, doskonałe zakorzeniony krzew, który rozrasta się na zdrowym podłożu.

Przezulenie, pod którego wpływem zatracamy tak łatwo logikę i sprawiedliwość sądu, tam, gdzie w grę wchodzi nasze indywidualne prawa, jest największym wrogiem normalnego życia kobiety. Kobieta kochająca, nawet ta najbardziej nowoczesna, nie umie nie przekreślić siebie, szczególnie w pierwszej erze uczuciowego zapamiętania, a dopiero z czasem rozumie, jak trudno cofnąć się z raz obranej drogi, ile niezadowolonia, dysonansów, punktów wyjścia do przykrych nieporozumień, stwarza chęć wprowadzenia pewnych zmian w trybie życia domowego, upomnienia się o prawa, z których się dobrowolnie zrezygnowało.

Nam, które wchodziłyśmy w życie przed erą podstawowej zmiany warunków życiowych, zagwarantowanie sobie pewnej dozy swobody osobistej, obejmującej chwile wolne od obowiązków domowych, musi z kolei rzeczą przyjąć z pewną trudnością. Wprawdzie ta „osobista swoboda“ łatwiej daje się zrealizować na podłożu niezależności materialnej, którą wiele z nas zdobywa dziś własną pracą, nie jest ona jednak całkowita, nie jest doskonała, bo aczkolwiek uznana *pozornie*, zostawia zawsze u tych, którzy muszą na jej dobro abdykować, poczucie wyrządzonej im krzywdy, sprowadzającej rozgoryczenie.

W małżeństwie ludzi współczesnych, w małżeństwie, zawartem przez kobietę i mężczyznę, stojących na równym poziomie przygotowania życiowego i wykształcenia, ludzi, którzy w wyższych uczelniach, przy pracy zarobkowej, na boiskach sportowych, w czasie wspólnych wycieczek przywykli do koleżeństwa, nauczyli się szanować w równej mierze pracę i wypoczynek własny i cudzy — konieczność gwarantowania sobie pewnej swobody we wspólnym pożyciu stanie się wkrótce anachronizmem. Jednakże kobieta będzie zawsze upośledzona na punkcie zdobywania i swobodnego korzystania z wolnych chwil, gdyż jej życiowe obowiązki kształtują się już tak zgoła inaczej od obowiązków mężczyzny, że zawsze i wszędzie, o każdej dnia godzinie jest komuś niezbędna. Tem więcej ma ona obowiązek zorganizowania swojego życia tak, aby mogła pokonać trudności, związane z pracą zarobkową i domową, bez wyrzeczenia się wolnych chwil.

W życiu kobiety, która nie pracuje zarobkowo, a oddaje się jedynie wzorowemu spełnianiu obowiązków, związanych z prowadzeniem domu, trudno też o nadmiar czasu — łatwiej jednak o wolną chwilę. Sądzę, że najracjonalniejszym rozplanowaniem zajęć będzie takie, które zagwarantuje nam rano (po rozejściu się domowników do szkół i pracy)

wolne pół godziny na spokojne spożycie śniadania, przeczytanie rannych pism i rannej poczty; dwie poobiednie godziny zużytkujemy na wypoczynek fizyczny, ręczną robotę, czytanie, spokojną gawędę przy poobiedniej herbacie, lub kawie, na spacer, czy sport, a wreszcie zupełnie swobodnym wieczorem dysponować będziemy w miarę okoliczności i upodobań.

(d. c. n.)

Wanda Dobrzańska.

## S O J A

Buduje się w Gdyni olbrzymia olejarnia. Głównym surowcem, który ma przerabiać, jest soja. Oczywiście, musimy sprowadzać ten surowiec z zagranicy i znów nasze złotówki popłyną szeroką strugą do obcych.

W obecnych czasach powinno nam zależeć na każdym groszu, który może zostać w kraju. To też budowa tej olejarni musi dać naszym rolnikom impuls do zainteresowania się tą pożyteczną rośliną i zachęcić ich do uczynienia bodaj małej próby nad opłacalnością i możliwością wprowadzenia tej nowej rośliny do szerszej uprawy.

Ojczyzną soji są Chiny i Korea, gdzie rośnie dziko, a do uprawy została wprowadzona na dwa tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa; jest to roślina motylkowa, bardzo zbliżona do fasoli.

Użytkowość soji jest tak wielka, że nie da się porównać z żadną inną. Idzie ona w trzech kierunkach: I — jako środek spożywczy dla ludzi; II — do celów przemysłowych, głównie do wyrobu oleju; III — na paszę dla bydła, czy to jako siano, czy też jako zielonka.

Dla celów aprowizacyjnych da się soja użyć w tak różnorodny sposób, że spożycie jej w Chinach i Japonii stoi na drugim miejscu, tuż po ryżu.

Z mąki soji wypiekają pieczywo, mieszając ją w rozmaitych proporcjach z mąką pszenną.

Z czystej mąki robią leguminę, zw. „palenta“.

Zielone strąki i ziarna niedojrzałe są podawane, jako jarzyna; odznaczają się one wielką pożywnością i dużą zawartością witamin. Jarzyna ta jest bardzo rozpowszechniona nie tylko w Chinach i Japonii, ale i Stany Zjednoczone konsumują tego dużo. Stworzył się nawet cały przemysł, polegający na fabrykacji konserw ze strąków soji.

Japończycy, chińczycy i mieszkańcy Indyj mogą obywać się bez mleka tylko dzięki soji. Spożywają oni zamiast mleka odpowiednio spreparowany wyciąg z ziarn soji. Wyciąg ten ma skład chemiczny, bardzo do mleka krowiego zbliżony. Mleko z soji zaczyna zyskiwać prawo bytu nawet w Europie.

Francja i Niemcy posiadają już olbrzymie zakłady fabryczne, zajmujące się tym przerobem. Z mleka tego można również wyrabiać setki gatunków serów — od najzwyczajniejszych do najwykwintniejszych.

Z soji wyrabia się również rodzaj sosu, zwanego „Miso“, o smaku i charakterze ekstraktu mięsnego. Sos ten przypomina znaną u nas przyprawę „Maggi“. Głównymi konsumentami sosu „Miso“, oprócz mieszkańców Wschodu, są Anglicy i Amerykanie.

Najważniejszą może gałęzią użytkowości soji jest produkcja oleju. Olej ten nadaje się do jedzenia, oraz posiada duże znaczenie dla celów technicznych. Wy-



dajność soi pod tym względem jest olbrzymia, bo 1 tona ziarna daje przeciętnie 125 l. wyborowego oleju plus makuchy, mające dużą wartość odżywczą, sprządzane zresztą do nas za drogie pieniądze.

Duże zastosowanie ma też soja do wyrobu niepalnego surogatu celuloidu.

Jest to tylko bardzo pobieżny opis możliwości użytkowych soi. Widać z niego jasno, że roślina ta ma nie tylko duże znaczenie dla rolnictwa, ale mogłaby stać się podwaliną poważnej gałęzi przemysłu.

Próby, czynione z soją u nas, dały doskonałe rezultaty i dziś śmiało namawiać można do wprowadzenia tej rośliny do naszych gospodarstw. Należy brać tu przykład z Niemiec, które w ostatnich czasach rozwinęły olbrzymią propagandę wśród rolników i forsują wszelkimi siłami tę uprawę u siebie.

Soja jest to roślina zupełnie niewybredna i w naszych warunkach daje, według komunikatów stacji doświadczalnych, zbiory pewniejsze, niż groch lub fasola. Nie tylko ziemi nie wyczerpuje, ale, jako motylkowa, wzbogaca ją w azot.

Wymagania nawozowe ma takie same, jak fasola, t. zn., że potrzebuje fosforu, potasu i wapna. Wprowadzając soję po raz pierwszy do uprawy, lepiej ją wysiewać po motylkowych, np. po grochu (zasiliwszy rolę nawozami sztucznymi), a to dlatego, aby wytworzyć możliwie najlepsze warunki dla rozwoju bakterij, których obecność dla osiągnięcia dobrych plonów soi jest konieczna. Siejąc motylkowe po motylkowych, osiągamy w danym momencie wyższe „zażalenie“ pola potrzebnymi drobnoustrojami.

Pod względem gatunku ziemi soja nie jest wybredna: odpowiednio pielęgnowana, będzie rosła zarówno na piaskach, jak i na glebach torfowych. Najlepsze rezultaty daje jednak na średnio zwięzłych glinkach.

Rola, na której chcemy sadzić soję, musi być wolna od chwastów, na zimę zorana głęboko i zostawiona w ostrej skibie.

Wiosną, gdy tylko ziemia cokolwiek obeschnie, puszczamy włokę. Zabieg ten ma na celu przyspieszenie skielkowania chwastów, które potem sprężynką niszczy. Nawozy pomocnicze dajemy na kilka dni przed siewem. Na ziemi cięższe dajemy I m. tomasówki na morgę; na ziemiach lżejszych stosujemy sól potasową.

Zwykle nie trzeba przeprowadzać orki wiosennej, gdyby się jednak okazało, że pług jest konieczny, należy ziemię możliwie płytko zorać i natychmiast zabronować. Na ziemiach lżejszych wiosennej orki trzeba unikać, jako zbyt suszącej. Do siewu przystępujemy po 8-ym maja. Na dobrze uwleczonym polu wytkamy rzędy znacznikiem, lub poprostu grabiami. Na ziemiach lżejszych najlepszą odległością jest 30 ctm. rząd od rzędu.

Na ziemiach cięższych i zasobniejszych dajemy rząd od rzędu co 45 ctm. W rzędach sadzimy po dwa ziarenka co 10 — 20 ctm. Przy tym systemie wychodzi na morgę od 20 — 35 kg. ziarna. Warstwa przykrywająca nasienie, nie powinna przekraczać 3 — 5 ctm.

Gdy chcemy soję plantować na siano, czy zielonkę dla bydła (jako pasza jest soja bardzo chętnie jedzona i pobudza gruczoły mleczne), wtedy wysiew musi być nierównie gęstszy: wysiewamy na morgę przeszło 120 kg. nasienia. Po dwóch tygodniach soja zaczyna wschodzić i gdy tylko zaznaczy się kierunek rzędów, spulchniamy motyczkami międzyrzędzia, unikając szkodliwego dla soi osypywania roślin.

W dwa tygodnie powtarzamy ten zabieg, przeprowadzając jednocześnie bardzo staranną pielonkę, gdyż chwastów w pierwszych okresach rozwoju soja bardzo się boi. W końcu czerwca roślinki zaczynają bardzo szybko rosnąć i okrywają całe pole liśćmi; od tego czasu zostawiamy soję w spokoju.

Moment zbioru jest zależny od odmiany oraz od położenia danej okolicy. Przypada między końcem sierpnia, a początkiem października. Najlepiej się orjentować po wyglądzie samej rośliny: gdy liście opadły, a na łodygach zostały pęki dojrzewających, mocno osadzonych strąków, wtedy najlepiej przystąpić do zbioru. Wyrwa się dojrzewającą soję, wiąże w małe snopeczki lub luzem ustawia w kopki, jak koniczynę. W kawkach soja dojrzewa, ziarno twardnieje i nabiera właściwego koloru. Po kilku pogodnych dniach znosi się soję do stodoły. W razie słoty, lepiej składać soję w kozły, jak koniczynę. Soja w okresie dojrzewania jest odporniejsza na słotę, niż jakakolwiek inna roślina. Tak samo doskonale znosi jesienne przymrozki.

Ważnym zabiegiem, którego nie należy lekceważyć, jest wybór typowych roślin na nasienie. Wyboru tego dokonujemy od razu na polu. Najbardziej typowe rośliny wyrwamy i składamy osobno, przechowując w strąkach do momentu siewu. Plenność soi jest wielka; za bardzo średni plon należy uważać 40 ziarno, a w latach urodzaju można otrzymać i setne. Młockę skuteczniamy maszynami lub cepami. Jeśli młócimy cepami, lepiej to robić w czasie silnych mrozów, bo wtedy strąki łatwiej się otwierają. Na zieloną paszę zbieramy soję, gdy się strąki osadziły, i albo ją suszymy na siano, albo przyrządzamy z niej kiszonkę.

Na wszelkie choroby i szkodniki soja jest odporna. Dobrze znosi zarówno suche, jak i mokre lata. Te właściwości czynią z niej roślinę mało zawodną.

Jedyną trudnością jest wybór odpowiedniej odmiany. Jest to kłopot nielada, jeśli zważymy, że istnieje przeszło 400 odmian soi i lwia ich część jest dla naszego klimatu nieodpowiednia.

Nasze stacje doświadczalne pracują nad soją już kilka lat i wypróbowały już wiele gatunków, dających u nas dobre rezultaty.

Zabierając się do prób nad uprawą soi, należy od składu, sprzedającego nasienie soi, żądać poręczenia, że nasienie jest wyprodukowane u nas, względnie w Niemczech. W przeciwnym razie możemy się narazić na zawód i przez to zniechęcić do dalszej hodowli. (Wszystkie większe firmy nasiennicze mają to nasienie na składzie).

U siebie wypróbowałam z dodatnim wynikiem 2 odmiany, ale zdalnych dla naszego klimatu jest o wiele więcej; podobno ilość ich dochodzi do 80.

1) Najważniejsza brunatna, nisko rosnąca, osiąga tylko 20 — 35 ctm. Odmianę tę hodują w północnych Niemczech.

2) Wczesna czarna, cokolwiek wyższa od poprzedniej; dojrzewa przeważnie w tydzień po najwcześniejszej.

Obie te odmiany doskonale wykształciły ziarno. Zamiast narzekać na ciężkie czasy, niech rolnicy wezmą się do szukania dróg poprawy zła obecnego. Kryzys, jaki przeżywamy, wskazuje jasno, że rolnictwo musi być pchnięte na zupełnie inne tory. Droga, którą kroczy w danej chwili, stała się tak wyboistą, że kto wie, czy warto ją poprawiać; czy nie lepiej zbudować od razu nowy, szeroki trakt, dostosowany do potrzeb życia, radykalnie zmienionego po wojnie.

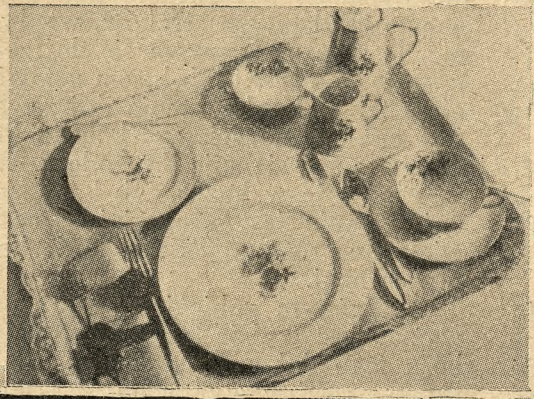
Marzenna Saryusz-Stokowska



## T A C E

Sprzętem niezbędnym w gospodarstwie domowym, bez którego trudno sobie wyobrazić dobrze prowadzony dom, jest taca. Potrzebna jest niewątpliwie w każdym domu i ma rozległe zastosowanie.

Na niej pani lub służąca przynosi napoje, ugotowane w kuchni. Podaje śniadanie do sypialni, o ile ktoś jada w łóżku. Roznosi w pensjonacie śniadanie do poszczególnych pokoi. Wreszcie, jeżeli podaje do



*Taca drewniana — z rannym śniadaniem.*

*Na metalowej tacy zastawa do herbaty.*

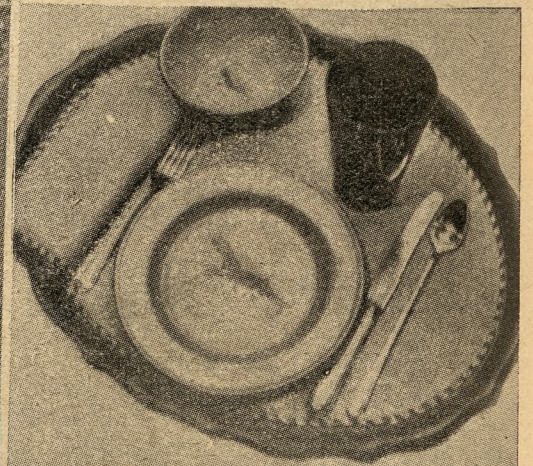
pokoju imbryki, to stawia je na stole, też oczywiście, na tacy. Te przykłady dotyczą jedynie śniadania rannego.

Pozostaje jeszcze reszta dnia — obiad, podwieczorek, kolacja, podczas których taca odgrywa niemniej ważną rolę.

Rozległe zastosowanie tac w gospodarstwie domowym wpłynęło na wieloraki ich kształt i różnorodność materiału, z jakiego są wykonane. Najdogodniejszy kształt tac do podawania jest podłuż-

*Srebrna taca z zastawą do kawy.*

*Tacka z kolacją dziecka.*



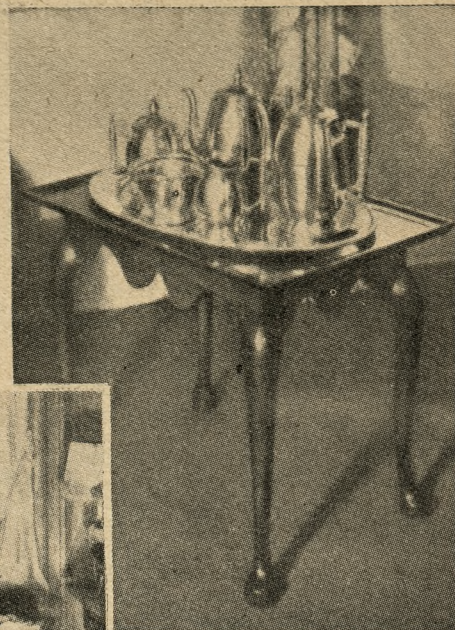


ny. Jeżeli taca jest duża — musi być zaopatrzona w dwie ręczki do trzymania. Wygodny, bardzo używany kształt owalny ceniony jest dlatego, że wszystko da się na owalnej tacy zręcznie ustawić.

Wielkość tac bywa różnorodna, uzależniona od celu, do jakiego służy. Inny np. rozmiar musi mieć taca, którą niesie służący w obydwóch rękach, a inny ta, na której podaje się filiżankę kawy, herbaty lub szklanek wody. Tace wyrabiane są z metalu (srebro, plater, nikiel, miedź, mosiądz i t. p.), z drewna (doskonale są z drewna parzonego lub pociągniętego lakierami, odpornymi na gorące płyny), z kryształu, szkła i porcelany (bardzo ładne, ale niepraktyczne ze względu na swą kruchość). Wreszcie z dwóch tafli szkła, pomiędzy które wkłada się koronkę, piękny haft i t. p., wszystko oprawione razem sposobem koszykarskim. Te ostatnie tace, nieraz bardzo efektowne, mają tę wielką wadę, że wystarczy wylać na nie trochę płynu, który przez koszykową oprawę dostaje się do środka, aby od razu straciły świeżość, którą przywrócić można jedynie, dając tacę ponownie do oprawy.

Tacę, zależnie od jej przeznaczenia, należy przykrywać indywidualnie.

Drewniane wymagają bezwarunkowo pokrycia serwetką płócienną, mniej lub więcej ozdobną. Na metalowe kładzie się serwetki bardzo ażurowe, haftowane, lub koronkowe, przez które przegląda metal i które służą raczej, jako ozdoba. Bardzo ładnie wygląda srebrna taca, niczem nie nakryta, w której połyskliwej powierzchni odbijają się wszystkie ustawione przedmioty. Na tacy stawia się



*Niklowa taca z takąż zastawą do kawy i herbaty.*



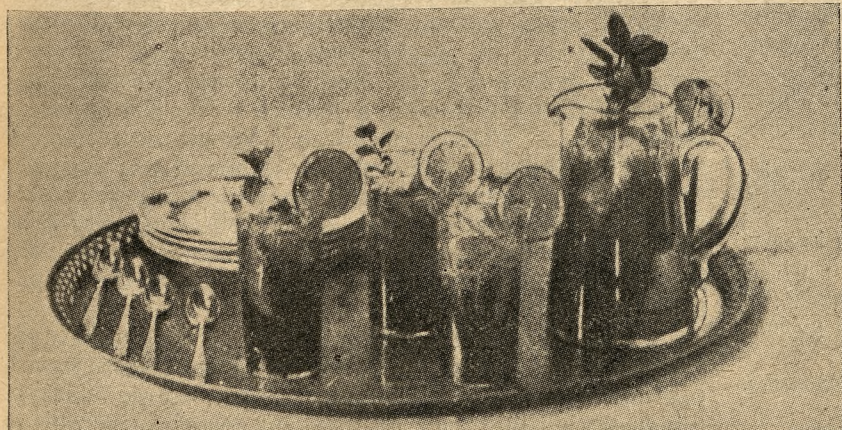
*Prześlicznie i mykmiutnie podana herbata.*



*Kawa mrożona na tacy, ozdobionej kwiatami.*



*Taca z puhami lodów.*



*Taca z zamrożoną limonjadą.*

zawsze wszystko to, co w danej chwili jest potrzebne. Np., podając kawę czarną w pokoju: imbryczek z kawą, śmietankę, cukier. Zasadą jest, żeby wszystko było ustawione ładnie i z wdziękiem.

Czasem, jeżeli miejsce pozwala, można postawić na tacy wazon z kwiatami. Gałązka kwiatów, położona na tacy, którą posyła się do pokoju, a zwłaszcza, na której podaje się posiłek rekonwalescentowi, uprzyjemnia i umila posiłek.

Jest wreszcie jeszcze specjalny rodzaj tac-stolików, bardzo praktyczny, o których, z powodu braku miejsca, pomówimy innym razem.

M. D.





Wyroby uczennic kursów p. M. Gołabowej.

## NOWA PLACÓWKA PRZEMYSŁU ARTYSTYCZNEGO

W dn. 15-ym b. m. została otwarta w obecności prof. Władysława Witwickiego i art. mal. Wiśniewskiego, w nowo powstałej instytucji Kursów Przemysłu Artystycznego Marji Gołabowej (Raszyńska 58), pierwsza wystawa prac uczennic, które ukończyły wyżej wspomniane kursy.

Główną cechą nowopowstałej instytucji jest baczenie na jaknajbardziej precyzyjne wykonanie, przy równoczesnym uwzględnieniu oryginalnego rysunku kompozycji o motywach nowoczesnych.

W dziale metaloplastyki zwracają uwagę przedmioty z blachy cynowej z aplikowanymi motywami z blachy mosiężnej, oraz subtelnie wykonane motywy techniką saraceńską. W dziale malowania na tkaninach, oprócz znanego tamponowania, malowanie na markizecie i t. zw. złotolite gobeliny, malowane na grubym płótnie. Również interesująco przedstawiają się roboty t. zw. emalji zimnej na szkłe i wypalanej na fajansie, oraz malowana porcelana i prace wykonane na skórze.

Do ciekawych efektów dochodzi też pani Gołabowa przy wyrobie kwiatów dekoracyjnych, używając do tego celu, między innymi, kolorowych kościanych sztonów do kart.

Celem pani Gołabowej jest wyspecjalizowanie każdej z uczennic w jakimś pewnym kierunku, aby sobie stworzyć zastęp pomocnic, z którymi będzie mogła rozpocząć pracę i rzucić na rynek okazy przemysłu artystycznego o wysokiej wartości i precyzyjnym wykonaniu; to też zachętą dla pań, pragnących uczęszczać na kursy, powinien być nietylko ich wysoki poziom, ale i zapewnienie zdobycia pracy zarobkowej.

Wanda Pogonowska.

## O RYBACH MORSKICH

Temat, jak na Wielki Post, bardzo aktualny, chociaż właściwie, od czasu, jak mamy kawalątko własnego morza, przez rok cały równie aktualnym być powinien.

Czytałam w jednym z gospodarczych pism francuskich, że nawet wtedy, kiedy nie znano kolei, ani autobusów, stolica Francji była codziennie obficie zaopatrzona w ryby morskie. Bo we Francji, znanej ze swej wybornej kuchni, ryby morskie zawsze ceniono znacznie wyżej od ryb z wód słodkich; nie tak, jak u nas, gdzie byle panusia, a za nią jej służąca do wszystkiego (czytaj — do niczego), robią pocieszne miny, mające wyrażać dystynkcję, i mówią, że „zapachu morskich znieść nie mogą“, a tymczasem codziennie zjadają śledzie solone i wędzone, doprawdy nie odznaczające się miłym zapachem.

Otóż te ryby morskie dostawiano w drewnianych rezerwuarach, zawieszanych po obu bokach silnych koni. Rezerwuary zawierały wodę morską i ryby dochodziły żywe i świeże nawet latem.

U nas robi się coś podobnego dla ryb jeziorowych. Wiem, na przykład, o dwóch autobusach-rezerwuarach wodnych, które kursują pomiędzy stolicą, a jeziorem Brańskiem, na dalekich Kresach (pogranicze Litwy i Łotwy). Nie sądzę, aby ryby morskie wymagały równie kosztownej dostawy.

Główną ich zaletą jest wielka taniałość, która je czyni przystępnymi dla najszerzych warstw społecznych. Oba dłuższe posty: adwent i Post Wielki — przypadają w czasie, kiedy mamy już, lub jeszcze, stałe mrozy i zwykły przewóz ryb morskich koleją jest możliwy i zewszecmiar wskazany.

Chodzi tylko o to, żeby te smaczne, pożywne i tanie ryby nie były udziałem jedynie stolicy, lecz rozchodziły się po całym kraju. Aby po wszystkich miastach i miasteczkach, ba! na targach wiejskich można było nabyć mrożonego dorsza i śledzia, flondrę i sielawkę, jak dzisiaj się nabywa ościste płotki i drobne, suchotnicze szczupaki, czy okonie.

Wszak z handlem rybnym jest bardzo źle; sama słyszałam w zamożnym domu w Poznaniu, jedząc (zresztą wyborny) postny, cały jarski obiad — że ryby w tem mieście są zbyt drogie, aby je można używać poza wielkimi przyjęciami.

Pewien mój znajomy, mieszkający w Wilnie, bywając w sprawach służbowych co parę tygodni w Warszawie, wozi stąd stale do domu ryby mrożone (przeważnie morskie), bo ich w Wilnie wcale nie znają.

Kiedy mówię o rybach morskich, jako o tanim artykule spożywczym, którego użycie wszystkim polecać należy, to mam przedewszystkiem na myśli wszelkie ryby z rodziny śledzi i dorszy. Łososie i węgorze są zbyt kosztowne, a jednak — co jest objawem ciekawym — właśnie węgorze i łososie nawet w głębi kraju dochodzą i jeżeli nie w domach prywatnych, to w lepszych restauracjach prowincjonalnych wszędzie w jadłospisach figurują. Wszelkie gatunki flonder źle znoszą przewóz; a raczej przewóz znoszą dobrze, lecz dużo tracą na smaku, jeżeli nie idą na patelnię wprost z wody.

Porzostają więc, jak mówiłam rozmaite gatunki śledzi, od największych, co po uwędzeniu noszą nazwę piklingów, do najmniejszych, które w stanie świeżym nie są wywożone, lecz na miejscu zostają przerabiane na ostre kilki i łagodniejsze szprotki.

Większe śledzie, najnieśluszniej w Warszawie



zwane merlanami, i mniejsze, również bezprawnie noszące nazwę sielaw (sielawy są rybą jeziorową), są tak tanie, jak bodaj żaden inny produkt zwierzęcy. Cena ich normalna waha się około 1 złotego za kilo, a w razie dużego dowozu spada do kilkudziesięciu groszy. Do gotowania wcale się nie nadają, natomiast smażone są wyborne, a marynowane w occie, bądź w jarzynach, nawet przez wybrednych grymasników są cenione.

I właśnie te śledzie radabym widzieć rozwożone po całym kraju, aby dostarczyć najbiedniejszym jego mieszkańcom artykułu spożywczego, bogatego w białko, tłuszcz i — witaminy. Sądzę, że przy stałym bezrobociu i poszukiwaniu pracy, ludzie, którzyby się zajęli handlem takimi świeżymi śledziami na prowincji, zorganizowali ich dostawę, ich kolportaż do małych centrów — w ciągu paru miesięcy zimowych porobiliby doskonale interesu.

Nieco droższe, lecz jeszcze znacznie tańsze od ryb słodkowodnych, są dorsze. Jest ich kilka gatunków. Małe dorsze (wagi po kilkadziesiąt deka do kilograma), sprzedawane z głowami i wnętrznościami, łowione przeważnie u nas, na Helu, mogą być traktowane, jak okonie; mają mięso delikatne i łupkie. Duże dorsze, których głowy i wątroby zostały użyte na wyrób leczniczego tranu, są nadzwyczaj wydajne, gdyż oprócz ości środkowej i skóry, żadnych nieużytecznych odpadków nie mają.

Po usunięciu grubej, wewnętrznej błony, wyścielającej całą rybę, wszelki zapach „morszczyzny“ zostaje usunięty (a duża zawartość witamin, tak obfitych w tranie, jednak pozostaje). I dalej: takie dorsze, szczególnie szlachetniejsza ich odmiana, kabliau (we

Francji do najlepszych ryb zaliczany „cabillaud“), może wybornie zastąpić nie tylko zawsze suchego szczupaka, lecz i sandacza. Wszystkie sposoby przyrządzenia obu tych ryb, wszystkie przepisy do nich podawane, można stosować do kabliau, a jest on od nich o połowę tańszy.  
Pani Elżbieta.

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### ŚLEDZIE MARYNOWANE.

W poście zawsze pożądanym jest zapas marynowanych śledzi, szczególnie przydatny na wsi lub na prowincji, gdzie nie zawsze nazwołanie można nabyć dobrego Ulika lub Matjesa, a zwykłe śledzie, z beczki, słone i twarde, do prędkiego użytku się nie nadają. Jednak z tych słonych i twardych śledzi — o ile nie mają przykrego, nieczem nie dającego się usunąć zapachu, właściwego śledziom nadpsutym, i nie są pokryte rdzą, co dowodzi, że beczka stała już lat parę — można zrobić wyborną marynatę.

Więc naprzód *śledzie w oliwie*.

Dziesięć śledzi wymoczyć dobrze, nie do zupełnego jednak pozbawienia ich soli, gdyż byłyby bez smaku. Wyjąć z nich ości, odrzucić łebki. Pozostawienie na nich skórki lub zdjęcie jej zależy od gustu gospodyni. Śledzie ułożyć w słoju, lub w głębokiej salaterce, przekładając kilku ziarnkami pieprzu i ziela, paru goździkami i połamanym na kawałki listkiem. Połać oliwą, aby dobrze objęło, przycisnąć talerzykiem i ciężarkiem. Oliwa nie koniecznie musi być nicejska: doskonale może

## PREMJE KSIĄŻKOWE DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU“

W związku z komunikatem, podanym w numerze „Bluszczu“ z dn. 1 stycznia r. b. zawiadamiamy nasze prenumeratorki, że ZAMIAST DODATKU POWIEŚCIOWEGO ORAZ TYTUŁEM PREMJI ZAKUPILIŚMY DLA NICH SZEREG WARTOŚCIOWYCH I CIEKAWYCH KSIĄŻEK Z ZAKRESU BELETRYSTYKI, które będą przesyłane TYLKO PRENUMERATORKOM po uiszczeniu przez nie osobiście, przekazem pocztowym, lub na konto P.K.O. Nr. 3.700 dodatkowo, do ustalonej poprzednio prenumeraty, jeszcze kwoty 2 zł. miesięcznie.

Na najbliższe półrocze prenumeratorki nasze otrzymają następujące książki, estetycznie na wykwintnym papierze wydane:

W MIESIĄCU		Stron	Cena książki w handlu księgarskim		Specjalne ceny premjowe dla prenumeratorek „Bluszczu“.	
			zł.	gr.	zł.	gr.
Lutym	O. HENRY: REWOLUCJA I MIŁOŚĆ . . . . .	306	6	50	2	—
Marcu	R. MACAULAY: DWA OBLCZA . . . . .	309	8	—	2	—
Kwietniu	H. G. WELLS: OJCIEC KRYSZTYNY ALBERTY . . . . .	424	11	—	2	—
Maju	B. TARKINGTON: KOBIETY . . . . .	335	8	—	2	—
Czerwcu	W. MAUGHAM SOMERSET: SAMOTNE DUSZE . . . . .	275	8	—	2	—

Panie, wpłacające już teraz prenumeratę za wymienione miesiące, otrzymują wszystkie należne książki odrazu.



ją zastąpić oliwa orzechowa (z arachidów); znacznie tańsza, a również smaczna i zdrowa. Używać w dwie doby po zamarynowaniu. Trzymać w chłodnym miejscu, lecz nie na mrozie. Stać mogą około tygodnia, należy tylko przed zamarynowaniem starannie osączyć śledzie z wody, najlepiej używając do tego bibuły. Woda, pozostała w śledziach, powoduje ich psucie się.

*Śledzie w rodzaju sardynek.* Śledzie białe, dobrze wymoczone, oczyścić z ości, odrzucić łby i ogony, nie naruszając skórki; przepołować, każdą połówkę rozkładać na dwa lub trzy równe kawałki, rozmiaru zwykłej sardynki. Kawałki te utarzać w mące i usmażyć na oliwie, smażąc na bardzo wolnym ogniu, aby się nie porozpadały. Dać tym kawałkom dobrze ostygnąć, aby okrzepły. Złożyć do głębokiej salaterki, przekładając ziarnkami pieprzu i ziela, paru goździkami, paru kawałkami żółtej skórki cytrynowej, a na wierzch dać cały, duży listek. Wylać na nie oliwę, w której się smażyły, i tyle oliwy surowej, aby je dobrze pokryła. Przykryć talerzykiem i ciężarkiem. Używać najwcześniej w dwie doby po zamarynowaniu. Stać mogą długo: do paru tygodni i więcej.

*Śledzie z jabłkami.* Dziesięć jędrnych białych śledzi-mleczaków wymoczyć, oczyścić starannie z ości, skórkę i łebki pozostawiając przy śledziu. Ułożyć w szklanym słoju, lub na głębokiej salaterce. Mleczka ze śledzi utrzyć dokładnie na misce wraz z dwiema łyżkami oliwy, łyżką angielskiej lub domowej musztardy, szczyptą tłuczonego pieprzu; dodać szklanekę niezbyt mocnego octu, przegotowanego z kilku ziarnkami pieprzu, ziela, listkiem i niedużą cebulą, którą należy odrzucić. Pół kilo jabłek kwaskowych pokrajać na talarki, ułożyć na śledziach (można też przełożyć śledzie między rzędami, lub, kto lubi, podwoić ilość jabłek). Polać to wszystko marynatą, przycisnąć talerzykiem i ciężarkiem. Używać we dwadzieścia cztery godziny po zamarynowaniu. Stać mogą bardzo długo.

#### SANDACZ NADZIEWANY JARZYNAMI.

Oczyszczonego, jak zwykle, sandacza ugotować w smaku z włoszczyzny, biorąc na ten smak znacznie większą, niż zwykle, ilość jarzyn. Naprzykład na półtorakilowego sandacza wziąć około siedemdziesięciu pięciu deka jarzyn: marchewki, pietruszki, pora, selera, cebuli, włoskiej kapusty i garstkę brukselki. Przed włożeniem ryby do smaku, jarzynki już ugotowane odcedzić, pokrajać w drobne paski, zmieszać z dobrą łyżką oliwy, całym jajkiem surowym i łyżeczką musztardy. Rybę po ugotowaniu rozplatać od strony brzucha, wyjąć jaknajdokładniej wszystkie ości. Napęlić rybę jarzynkami, złożyć napowrót w całość i zastudzić na półmisku. Smak z ryby można sklarować białkiem, precedzić, dodać na każdą szklanekę smaku dwa listki rozmozonej w zimnej wodzie żelatyny, zakolorować parą kropkami karmelu na kolor jasno-żółty i zalać rybę tą galaretą. Przed podaniem pokrajać sandacza na porcje bardzo ostrym nożem. Można też po dokładnym zastudzeniu ryby wpierw ją pokrajać na porcje, a dopiero wtedy zalać galaretą. Podać oddzielnie sos musztardowy, tatarski, lub nawet zwykły chrzan z octem.

#### CEBULA NADZIEWANA.

Cebule hiszpańskie, lub bardzo duże, tak zwane cukrowe, o łagodnym smaku, oczyścić z łupinek, sparzyć wrzątkiem, wydrążyć z nich środkki łyżeczką od kartofli. Wyjęte środkki jak-

najdrobniej usiekać. Parę łyżek tartej bułeczki zrumienić w łyżce masła, zmieszać z usiekaną cebulą, dodać parę drobno usiekanych pieczarek, osolić do smaku. Nadziać napowrót cebule, ustawić w rondlu na dobrze rozgrzanem maśle. Podlać smakiem z jarzyn, lub kwaśną śmietaną po połowie z wodą. Dusić, aż sos się zupełnie wysadzi, a cebule zmiękną. Wyłożyć na półmisek, otoczyć grzankami przysmażonymi na maśle. Sos precedzić i podać oddzielnie w sosjerce.

#### PASZTET Z KASZY JAGLANEJ W NALEŚNIKACH.

Dwadzieścia deka kaszy jaglanej sparzyć trzy razy wrzątkiem, aby odjąć jej wszelką gorycz. Przełożyć do garnka, zalać trzykrotną ilością wody, włożyć łyżkę masła, osolić, przykryć pokrywą, wstawić w piec, aby się wypiekła. Powinna być zupełnie sypka. Tymczasem z dwóch jaj i półtorej szklanki mąki upiec z piętnaście cienkich naleśników. Dziesięć deka pieczarek, starannie oczyszczonych, pokrajać w paski. Dziesięć deka cebuli pokrajać też w paski, zasmażyć na rumiano w łyżce masła, dodać pieczarki, poddusić, zmieszać z wypieczoną kaszą. Formę tortową wysmarować masłem, wysypać bułeczką, wyłożyć naleśnikami. Kłaść rzędami kaszę i naleśniki, aż wszystko wyjdzie. Na wierzchu powinien być naleśnik. Skropić masłem, posypać bułeczką, wstawić w średnio gorący piec. Trzymać w nim około trzech kwadransy. Gotową babkę wyłożyć na półmisek, pokrajać ostrym nożem, jak pomarańczę. W sosjerce podać sos pieczarkowy, lub masło topione.

#### BABECZKI Z KWAŚNEJ ŚMIETANY.

Szklanekę kwaśnej śmietany i 4 żółtka rozbić doskonale. Dodać 220 gr. najprzedniejszej mąki pszennej, szczyptę soli i 150 gr. masła sklarowanego. Wyrobić, wkońcu dodać pianę z 4-ch białek, lekko wymieszać.

Rozgrzać silnie małe patelki (takie, jak do blinów), wlać na każdą po łyżeczce masła sklarowanego, napęlić patelki masą, wsunąć do gorącego pieca, a gdy się babeczki zrumienią, podawać natychmiast. Do babeczek śmietanowych podaje się masło sklarowane i wyborową, młodą kwaśną śmietaną.

*Pani Elżbieta.*

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE“.

*Franciszek Werfel:* „Tajemnica człowieka“ — przełożył Marceł Tarnowski.

*Michał Rusinek:* „Półmężczyzna“ — powieść.

*Adam Czekański:* „Historje Wschodu“ — powieść egzotyczna.

*Guido da Verena:* „Ogród udręczeń“ — powieść.

*Stefan Zweig:* „Józef Fouché“ — powieść biograficzna.

*Hall Caine:* „Ahaswer“ — powieść.

WYDAWNICTWO „MRÓWKA“.

*Edgar Wallace:* „Anioł grozy“.

*Sydney Horley:* „Władczyni nocy“.

### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Ausirji, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymarska 8, tel. 244-18.